

*O skarbach,
wielkiej miłości
i czymś jeszcze*

Marek Scelina

*O skarbach,
wielkiej miłości
i czymś jeszcze*

JEDNOŚĆ

Kielce 2023

© Marek Scelina, Kielce 2023
wydanie pierwsze

Autor:
Marek Scelina

Korekta:
Piotr Żak

Projekt okładki:
Anna Góra-Klauzińska

Redakcja techniczna:
Anna Góra-Klauzińska

Fotografie:
Archiwum autora

ISBN XXXXXXXXXXXX

Wydawnictwo „Jedność”
25-025 Kielce, ul. Jana Pawła II nr 4
Dział sprzedaży: tel. 41 349 50 50
Redakcja: tel. 41 349 50 00
e-mail: jednosc@jednosc.com.pl
www.jednosc.com.pl

Druk i oprawa:
Drukarnia im. A. Półtawskiego
www.drukarnia.kielce.pl

Źonie, dzieciom i wnukom

Spis treści

ROZDZIAŁ I

O czarnym psie ze świecącymi oczami i skarbach pod miedzą ... 9

ROZDZIAŁ II

O skarbach w archiwum 14

ROZDZIAŁ III

*O tym, jak w Małoszycach kumora mieszkałi
pod dziewiątym numerem..... 19*

ROZDZIAŁ IV

O tym, jak Jan stał się jedleckim włościaninem 25

ROZDZIAŁ V

O Wojtku, Maryśce i wiernej miłości 34

ROZDZIAŁ VI

O Naszym Domu 43

ROZDZIAŁ VII

O moich dziadkach, a specjalnie o Jaśku..... 49

ROZDZIAŁ VIII

O tym, jak Jasiek i Józka słali dzieci do szkół 66

ROZDZIAŁ IX

O dalszej edukacji i o wojnie..... 71

ROZDZIAŁ X

O czasach nie tak znów odległych..... 81

ROZDZIAŁ XI

O tym, że wszystko, co ma początek, musi mieć i koniec..... 87

ROZDZIAŁ I

O czarnym psie ze świecącymi oczami i skarbach pod miedzą

Dziadek Jan przyszedł z Małoszyc.

Tak powiedział mój dziadek, też Jan. Tylko raz. Ale zapamiętałem.

Pewnie dlatego, że zawsze byłem ciekawy przeszłości, a wiejskie dzieciństwo ją rozbudzało. Ludzie dużo wtedy ze sobą rozmawiali, snuli interesujące opowieści. Posługiwali się przy tym pamięcią bez porównania bogatszą niż dziś.

Do naszego domu w Jelczy, jak do każdego innego, schodzili się sąsiedzi, żeby pogadać. Pukali szczególnie w długie jesienne i zimowe wieczory. Zasiadali przy stole oświetlonym żółtawym światłem rachitycznej żarówki, pod zielonym blaszanym kloszem w kształcie odwróconej miski. Reszta kuchni kryła się w tajemnych szarościach i zagadkowych cieniach. Ja chowałem się w największym mroku, a od światła odgradzał mnie wysoki bok starego łóżka. W tej mroczności-ciemności było jednak przytulnie: przecież łóżko stało naprzeciw rozgrzanego kuchennego pieca z białych kafli. Nad głową zaś tykał mi stary Becker, który srebrzystym biciem przypominał co pół godziny o swoim istnieniu. I o tym, że czas płynie... Było więc miło i bezpiecznie, a otulone w ciepłe cienie kilkuletnie dziecko całe stawało się słuchaniem...

O czym mówili dorośli?

Najczęściej o prostych, zwyczajnych rzeczach. I o ludziach ze wsi. Kto z czym przyjechał w poniedziałek na jarmark w Żarnowcu? Kto ile zboża omłócił, a ile zostało do omłócenia? Albo kto i co postanowił zasiać oraz zasadzić na wiosnę? Obgadywali też sąsiadów. W Jelczy wszyscy się przecież znali, nawet wyrwani ze snu rozsuptaliby bez trudu misterne rodzinne powiązania każdziuteńskiego znajomka. I to od pokoleń. Wiedzieli o sobie nawet to, skąd się wzięła dana rodzina, która kobieta z kim trzymała, znali wszystkie zwyczaje, przywary i słabostki każdego bez wyjątku.

W naszej dużej wsi żyło kilka szczególnie rozgałęzionych familii. Na przykład w wielu domach siedzieli Kałużni. Jak sąsiedzi ich rozróżniali w plotkarskich pogwarkach? Bardzo prosto: używali nie nazwisk, lecz przydomków utworzonych a to od imienia ojca, a to od charakterystycznego nawyku lub powiedzonka. I tak synowie oraz wnukowie Macieja wraz ze swymi rodzinami stawali się Macioskami, Wawrzyńca – Wawrzoskami. A pewien Kałużny, nieodmiennie pozdrawiający sąsiadów życzliwym „serwus”, dochrapał się przezwiska Serwuś.

Słuchałem więc w mojej zacienionej i ciepłej czatowni o wsiowej codzienności. Ale nie zawsze. Czasem pogwarki schodziły z pospolitego traktu powszedniości na tajemnicze manowce osobliwości, a nawet przedziwności. Zresztą, co tu owijać w bawełnę: o czarach i duchach było. Więc wtedy dziecko wytężało słuch z absolutnie wszystkich sił.

Moja babcia Józia z Kałużnych (jakże by inaczej) urodziła się w 1900 roku.

W czasie wielkiej wojny, pierwszej światowej, była młodą dziewczyną i wszystko, co wtedy się działo w Jelczy, dobrze pamiętała i mi opowiadała, gdy byłem mały. Najlepiej zapamiętała głód w 1914 roku, kiedy to we wsi stacjonowały oddziały cesarsko-królewskiej armii Franciszka Józefa. Żołnierze, mówiła, karmili konie niewymłóconym zbożem. Snopki wyrzucali z zastronia stodoły prosto pod końskie kopyta, na boisko. Przywlekli też zarazę: ludzie chorowali i marli na tyfus. Z trudem wywinał się śmierci mój przyszły dziadek – Jasiak. Ale trzy lata później właśnie na tyfus umarł ojciec babci Józji, czyli Jan Kałużny. Właśnie wtedy, w czas zarazy, nędzy i głodu, zdarzyło się to...

W zimowy wieczór do drzwi chałupy naszej rodziny załomotał żebrak. Takich jak on wielu włóczyło się wtedy po wsiach. Był brudny, zarośnięty i w łachmanach. Na plecach dźwigał worek. W takim worku chodzący po proszonym chlebie nosił cały dobytek, czyli to, co dali dobrzy ludzie. Tyle, że wór naszego żebraka był inny: nadzwyczaj ciężki. Zaś ciśnięty na podłogę... zabręczał.

— Dajcie jeść, gospodarze, bo z głodu umieram... – wyjęczał dziad błagalnie.

— Kiej sami nic nie mamy! Idźcie se gdzie indziej, u nas też głód – usłyszał w odpowiedzi. Wtedy popatrzył na matkę swojej babci Józki, ale jakoś tak dziwnie, jakoś przenikliwie.

— A ta kasza, co w piecu stoi? – zapytał, a oni wybałuszyli oczy, bo niby skąd wiedział?! Po czym stęknął i podniósł z ziemi swój wór. I znów coś zabręczało. Wtedy zrozumieli: tam były złote pieniądze! Chcieli coś powiedzieć, ale... rozpląnął się nagle w śnieżycy niczym mgła.

Bo kasza rzeczywiście była. Schowana głęboko we wnętrzościach pieca przed austriackimi żołnierzami, którzy potrafili znaleźć i zeżreć wszystko, co się do żarcia nadawało. I pomyśleć, że wystarczyło żebrakowi powiedzieć: „Macie człowieku...”, podać miskę z kaszą i drewnianą łyżkę! Do tej pory, po stu latach z okładem, opływaliby w dostatki! A tak wór pełen złota zniknął bezpowrotnie, bo przecież ten niby-żebrak, a w istocie duch, sprawdzał, czy moi pradziadkowie zdadzą egzamin z cnoty miłosierdzia.

Nie zdali.

Cóż w tym dziwnego, że na całe pokolenia zapamiętali okazję, co im przeszła koło nosa? Takie zdarzenie przemawiało do wyobraźni lepiej niż „głodnego nakarmić”, które księżulo z ambony wiecznie powtarzali...

Pamiętam, jak może sześćdziesiąt lat później babcia Józka przyjmowała w naszym domu na Perzówce ostatniego już pewnie wędrownego dziada. Nazywał się Wrzesień. Przychodził najczęściej w porze obiadu. Sadzało się go do stołu razem z domownikami, traktowało z rewerencją i z szacunkiem. Po posiłku dziękował słowami „Bóg wam zapłać”, żegnał się uprzejmym „zostańcie z Bogiem” i ruszał dalej w swoją drogę.

Lepiej od Austriaków wspominała babcia rosyjskich oficerów, którzy w wielką wojnę też pojawili się we wsi. Za jedzenie i pranie płacili kopiejkami. Eleganccy, w mundurach z epoletami, pewnie musieli się młodziutkiej dziewczynie podobać.

Lecz co ja będę tracił czas na obce wojsko! Przecież ta wojna, a może i jakieś inne wydarzenia przyniosły głęboką wiarę w... zakopane w ziemi skarby. Ale po kolei:

Moja mama Emilia pochodziła z domu Jedynak. Jej liczna rodzina zasiedlała całą kolonię Tczycę-Ciołkowiec. Pięciu jej braci – Stach, Józek, Wawrzek, Kazmierz i Andrzej – tam właśnie gospodarzyli, miedza w miedzę, dom w dom. Sami dobrzy rolnicy – zgodnie współpracowali.

Najstarszy był Stach. Zapamiętałem go jako postawnego chłopca z siwą czupryną, który uwielbiał opowiadać. A cierpliwy słuchacz mógł dowiedzieć się wiele o... szukaniu zakopanego złota. Nie skarbu jako takiego, nie. Konkretnie: złotych monet. O tym, jak je znaleźć, wiedzieli stryk doskonale, zatem dziecko słuchało z rozdziawioną buzią w Stachowym sadku, pod czereśnią rosnącą koło domu z pobielonych bali. Słuchało razem z tatą. Było lato, a stryk opowiadali z taką swadą...

— Złota tam w bród! Skarb najprawdziwszy! Tylko kopać! – przekonywał.

— To czemu nikt jeszcze nie wykopał? – dziwiłem się.

— Ten pies, no wiesz... Ciężko za nim trafić... Pokazuje się i chowa... – znacząco wznosił w górę palec i milkł.

Bo pozornie sprawa była prosta: pieniądze są zakopane w którymś z załamań biegnącej zakosami miedzy, co rozdziela pola niedaleko lasu nazywanego przez ludzi z Tczycy Sołtyśnica, choć jedleccy mówią o nim Chłopski Las. Szukać trzeba nocą. Różdżka niezawodnie pokaże miejsce. Najważniejszy jest jednak czarny pies ze świecącymi oczami. Trzeba znaleźć bestię na skraju lasu, a potem trop w trop podążać za nią do załomu miedzy. Zatem sposób prosty i absolutnie pewny. Toteż naprawdę trudno pojąć, czemu zaczarowany zwierz nigdy nie zaprowadził Stacha do garnka ze złotem?!

Tak oto drugi już raz rozminęliśmy się z nie byle jaką fortuną. Ale może jednak nie wszystko jeszcze przepadło?

Chociaż z drugiej strony...

Wiesiek Kałużny, mój przewodnik po sztuce pszczelarstwa, co o Jelczy i miejscowych wie wszystko, a nawet dużo więcej, wyjaśnił mi niedawno, dlaczego w pięknie wyremontowanym domu Mikułów (a to też nasza

rodzina) nikt nigdy nie nocuje. Owszem, przyjeżdżają miastowi właściciele, dbają o obejście, sadzą i pielęgnują kwiatki w ogródku, ale przed nocą zawsze wyjeżdżają.

— Marcuzku, tam straszy. Straszy jak cholera. Całą noc coś łązi po chałupie, tłucze się i trzaska garnkami. Raz tam spałem i z tego wszystkiego musiałem brać nogi za pas! – oświadczył mi kiedyś Wiesiek.

— Ale dlaczego straszy, Wiesiu? – zaciekawilem się.

— Jak to dlaczego? Licho pilnuje pieniędzy, co są tam zakopane – wzruszył ramionami.

No, może i tak. Tylko co z czarnym psem, niełaskawym dla stryja Stacha Jedynaka ze Tczycy-Ciołkowca? Niestety. Wygląda na to, że do garnka ze złotem zaprowadził innych. I są tego widoczne dowody. Bo w latach osiemdziesiątych zeszłego wieku, przy głównej drodze wiodącej przez Tczycę, jedni tacy ni z tego ni z owego postawili wielki dom. Strasznie bogaty, inny niż wszystkie, wystrzelił na górce i kłuł oczy sąsiadów królewską elewacją ozdobioną pokruszonymi szkiełkami oraz wzbudzał zawiść prawdziwym brukowanym podwórkiem. Naprawdę piękny był.

A za co go jedni tacy zbudowali? Przecież wcześniej nie śmierzeli groszem. Sprawa jest oczywista: wykopali złoto! Zaś do skarbu doprowadził ich, no kto? Naturalnie pies o czarnej sierści i świecących ślepiach. Bo jak inaczej? Więc pewnie do dziś mu są wdzięczni.

Takie opowieści ze zwyczajnego i niezwyczajnego świata, opiewające urok wsi oraz chłopskiej kultury i ludzi, budowały moją dziecięcą wrażliwość, a wraz z nią ciekawość przeszłości.

Ta sama ciekawość odezwała się we mnie po latach, kiedy byłem już w wieku mocno dorosłym, i zawiodła w progi Archiwum Diecezjalnego kurii biskupiej w Kielcach. Kazała mi znaleźć korzenie naszej wiejskiej rodziny. Wiedziałem wtedy tyle, że trzeba je tropić w księgach parafialnych, prowadzonych przez proboszczów.

Więc zacząłem szukać.

ROZDZIAŁ II

O skarbach w archiwum

Interesowały mnie księgi kościelne parafii Tczyca, bo w nich musiałem szukać historii urodzin, chrztów i zgonów w rodzinie Scelinów. Wiedziałem też, że powinienem sięgnąć do zapisów parafii szczekockiej. Po co? No właśnie... „Mój dziadek przyszedł z Małoszyc” – powiedział mój dziadek Jasiak. Przypominacie sobie? Gdybym tego nie zapamiętał, nie mógłbym nigdy dotrzeć do przodków przybysza, żyjących tam przed pięćdziesiątym rokiem XVIII wieku.

Ale po kolei.

Przypominam sobie moment, kiedy siostra zakonna, kurialna urzędniczka, wprowadziła mnie do pomieszczenia archiwum, mieszczącego się w Kielcach przy ul. Czerwonego Krzyża, i cierpliwie podawała kolejne tomy. Szczęśliwie wszystko, co mnie interesowało, zgromadzone jest w jednym miejscu. Dlaczego? Dlatego, że tak Jelcza, jak i Małoszyce zawsze leżały w obrębie diecezji kieleckiej (choć te drugie raz w parafii szczekockiej, raz Świętego Wojciecha w Łanach Wielkich). Ku mojej radości dokumenty były pięknie uporządkowane: parafiami i datami. I starannie spisane zrudziałym od upływu czasu atramentem.

Do kluczowego Jana, który występuje w aktach z Tczycy, dotarłem szybko.

Ksiądz-urzędnik zapisał:

Działo się we wsi Tczyca dnia trzeciego września 1860 roku o godzinie 12 w południe. Wiadomo czynimy, iż w przytomności świadków – Macieja Kałużnego lat trzydzieści i Tomasza Dziekana lat czterdzieści pięć mających, obydwu rolników ze wsi Jelcza zamieszkałych, na dniu dzisiejszym zawarte zostało religijne małżeństwo pomiędzy Janem Sceliną, młodzianem lat dwadzieścia siedem mającym, w Jelczy na wyrobku zostającym, w Małoszycach urodzonym, synem Jędrzeja i Zuzanny małżonków Scelinów

z jednej a Magdaleną Pietrzykową, panną lat dwadzieścia ośm liczącą, w Jelczy przy swoim ojcu zostającą, tamże urodzoną, córką Jana i Marianny z Kasprzyków małżonków Pietrzyków z drugiej strony.

Tak oto zmaterializował mi się on – mój prapradziadek Jan, co przyszedł z Małoszyc. Co więcej: poznałem jego rodziców. Za chwilę pójdę dalej tym śladem, ale najpierw zatrzymam się na chwilę na samych Małoszycach.

Wieś leży przy drodze prowadzącej wzdłuż doliny Pilicy z Żarnowca przez Łany Wielkie, Brzeziny do Dąbrowicy i Szczekocin. To stara królewska włość, część starostwa żarnowieckiego. W XV wieku były tu: młyn, karczma, łany kmiece i folwark. W XVIII wieku starostowie założyli we wsi oranżerię, w której hodowano 120 drzew cytrynowych, 28 pomarańczowych, 17 figowych, 80 bobkowych i jedno świętojańskie. Przy folwarku znajdował się staw rybny zwany Jamnicą. W połowie tamtego wieku (w czasie, w którym – jak się później okaże – żył pierwszy poznany przez nas Scelina) wieś składała się z 70 chałup, czyli była jak na tamte czasy duża i ludna. Stąd właśnie, gdzieś pomiędzy rokiem 1855 a 1860, wyruszył do Jelczy Jan. Dodajmy dla porządku, że Małoszyce należały wtedy do parafii szczekockiej, zaś księgi stanu cywilnego prowadził ksiądz Franciszek Zajac.

Byliśmy kiedyś z moją żoną Wiesią w Szczekocinach i – jak mamy w zwyczaju – rozpoczęliśmy spacer od zwiedzenia kościoła. Pierwszym, co przy wejściu rzuciło mi się w oczy, była tablica na ścianie, upamiętniająca osobę księdza Franciszka. Musiał się zasłużyć miejscowym, a i mnie pomógł w tropieniu śladów przeszłości, toteż zainteresowałem się nim nieco bardziej.

Informacji poszukałem w *Historycznym opisie kościołów, miast, za-
bytków i pamiątek* autorstwa jego kolegi po fachu – księdza Jana Wiśniewskiego. W nim znalazłem ten tekst z tablicy: *DOM. X Franciszek Zajac kanonik proboszcz parafii Szczekociny przeżył lat 81, zmarł w dniu 26.XII.1858 r. Prosi o westchnienie do Boga.* Kapłan długo pełnił posługę w miasteczku, bo od 1824 roku aż do swojej śmierci.

Wracam do diecezjalnego archiwum kieleckiej kurii i trudzę się szukaniem małoszyckich naszych oraz Jana przodków. Kłopot w tym, że na starannie ponumerowanych i wypełnionych stronicach Scelinowie pojawiają się bardzo często. W dodatku Janami chrzczą swoich synów co i rusz. Dobrze chociaż, że prapradziadek nie zechciał przyjść do Jelczy z pobliskiej Małoszycom Dąbrowicy, bo tam Scelinów jest jeszcze więcej. Kto wie? Może ta wieś to nasze pierwotne gniazdo? Pojechałem tam później z czystej ciekawości i zachwyciłem się piękną drewnianą zabudową. Ciekawe, czy choć część tych domów stoi jeszcze?

Ale nie obyło się bez niespodzianek: jeden z małoszyckich Janów zmylił mnie tak dalece, że radośnie zacząłem notować linię jego potomków. Jednak w pewnym momencie coś przestało mi pasować. Poczułem się mocno zagubiony w płątaniu dat i imion, więc zrobiłem sobie przerwę. Wróciłem do archiwum dopiero po paru tygodniach. Usiadłem przy biurku, otworzyłem księgę i... Jest!

Ksiądz Zajac napisał:

Działo się w Szczekocinach dnia siedemnastego czerwca 1834 roku. O godzinie czwartej po południu stawił się Jędrzej Scelina lat trzydziści mający zagrodnik z Małoszyc w obecności (...) zagrodników z Małoszyc i okazał nam dziecię płci męskiej w dniu dzisiejszym urodzone z jego małżonki Zuzanny z Krawczyków lat trzydziści cztery mającej. Dziecięciu temu na chrzcie świętym nadano imię Jan.

Bóg księdzu zapłać!

Bo to przecież ten Jan, który za dwadzieścia kilka lat pójdzie do Jelczy! Więc teraz zrobiło się już prościej. Wystarczyło powoli poruszać się w stronę przeciwną ruchowi wskazówek zegara i odwijać nitkę z kłęбка aż do jego końca. Zatem najpierw przeczytałem o ślubie rodziców Jana:

Działo się w mieście Szczekocinach dnia 24 maja 1827 roku o godzinie jedenastej przed południem. Wiadomo czynimy, że w przytomności świadków (...) na dniu dzisiejszym zawarte zostało religijne małżeństwo między pracowitym Andrzejem Sceliną, kawalerem przy rodzicach żyjącym w Małoszycach z Ludwika i Agnieszki Scelinów, gospodarzy tamże zamieszka-

tych, lat dwadzieścia dwa liczącym z Zuzanną z Krawczyków Ciszowską po zmarłym mężu Jakubie Ciszowskim w dniu szóstym miesiąca lipca roku zeszłego pozostałą wdową, córką Wojciecha i Zuzanny Krawczyków w Żarczycach włościan mieszkających a tu w Małoszycach mieszkającą (...) Franciszek Zajac proboszcz Szczekocin.

Pod datą 1805 roku pojawił się zapis o urodzinach i chrzcie świętym Andrzeja, pana młodego z aktu powyżej:

Roku 1805 dnia 19 listopada przed nami, proboszczem Szczekocin, stał się Ludwik Scelina gospodarz w Małoszycach zamieszkały i okazał nam dziecię płci męskiej na dniu dzisiejszym urodzone z niego i jego małżonki Agnieszki z Kozłowskich. Dziecięciu temu na chrzcie świętym w dniu dzisiejszym odbytym nadano imię Andrzej.

Wpis dokonany został przez innego księdza-urzędnika, bo wyraźnie innym charakterem pisma. Jak donosi wielebny Wiśniewski: (...) *był nim Jan Pattin, rodem z Lotaryngii, proboszcz Szczekocin, dziekan lełowski, który zrzekł się parafii w 1809 roku.*

Z kolejnej karty dowiaduję się czegoś o Ludwiku, dziadku naszego Jana. Ten mianowicie żył krótko, bo zaledwie 35 lat. Czytam:

W roku 1813 dnia 19 stycznia o godzinie 10 rano, przed nami, proboszczem szczekockim, spełniającym obowiązki urzędnika Stanu Cywilnego powiatu pileckiego, zjawili się Andrzej Scelina, ojciec zmarłego i Tomasz Scelina – brat zmarłego włościanin w Małoszycach na gospodarstwie osiadli i oświadczyli nam, że dnia 19 stycznia bieżącego roku o godzinie 4 w nocy Ludwik Scelina lat 35 mający zmarł, włościanin na gospodarstwie osiadły – Agnieszki Kozłowskiej mąż, w domu pod Nr 9.

O dziesięć lat przeżył go ojciec, a Janowy pradziadek:

Roku pańskiego 1814 dnia 20 marca o godzinie 9 rano, przed nami, proboszczem szczekockim, spełniającym obowiązki urzędnika Stanu Cywilnego parafii gminy Szczekocin powiatu pileckiego stawili się Tomasz Scelina, syn zmarłego włościanina w Łanach Wielkich osiadły i Wojciech Seweryn, zięć zmarłego, włościanin na gospodarstwie osiadły i oświadczył nam, że dnia 20

miesiąca marca roku bieżącego o godzinie 6 rano Andrzej Scelina mający lat siedemdziesiąt, włościanin kumorą w Małoszycach zamieszkały Reginy z Wierzchowskich mąż umarł w domu pod Nr 9.

Urodził się więc Andrzej Scelina w roku 1744. I na tym koniec. Nie ma wcześniejszych ksiąg, bo ich nie prowadzono. Pisana historia rodziny zaczyna się (czy kończy?) w 1774 roku. Jeszcze spisuję imiona i daty, żeby się nie pogubić w notatkach. Serdecznie dziękując siostrze, opuszczam gościnne progi archiwum. Rezultat przeprowadzonej kwerendy wygląda tak oto:

- **Andrzej Scelina** – ur. w 1744 r., zm. 20.03.1814 r. w Małoszycach, jego żona to Regina z Wierzchowskich Scelina,
- **Ludwik Scelina** – ur. w 1788 r., zm. 19. 01. 1813 r. w Małoszycach, jego żona to Agnieszka z Kozłowskich Scelina,
- **Jędrzej Scelina** – ur. 19.11.1805 r., zm. w 1845 r., jego żona to Zuzanna z Krawczyków Scelina, wdowa po Jakubie Ciszowskim ur. 1798 r., zm. 2.02.1836 r.,
- **Jan Scelina** – ur. w 17.06.1834 r. w Małoszycach, zm. 19.01.1879 r. w Jelczy, jego żona to Magdalena z Pietrzyków Scelina ur. w 1832 r.

Wypisałem wtedy zdobyte informacje, uzupełniłem imionami i nazwiskami następných pokoleń aż do moich dzieci Ani i Wojtka włącznie, zatytułowałem „Genealogia rodziny Scelinów” i powiesiłem na ścianie.

Teraz, po 20 latach, przyszedł czas (a czasu mam dużo, bo właśnie zostałem emerytem), aby pomyśleć, co z tego wynika. Czy z notatek, kilkunastu starych dokumentów zachowanych w szufladzie kredensu w Jelczy, można coś powiedzieć o ludziach skrytych za tymi nazwiskami i tymi datami? Coś więcej niż tylko to, że kiedyś się rodzili, żenili, mieli dzieci, a w końcu umierali?

ROZDZIAŁ III

O tym, jak w Małoszycach kumorą mieszkali pod dziewiątym numerem

Spróbujmy...

Zacznę od Andrzeja, który przyszedł na świat w 1744 roku, a umarł siedemdziesiąt lat później, dożywając – jak na tamte czasy – wieku zaiste matuzalemowego.

W dniu jego narodzin trwała jeszcze Rzeczpospolita Obojga Narodów. Od dziesięciu lat miłościwie panował August III Sas i miał zasiadać na tronie kolejne dziewiętnaście lat. Po nim nastął Stanisław August Poniatowski. Za jego królowania sąsiedzi rozebrali Polskę, wybuchła i upadła Insurekcja Kościuszkowska, kraj ostatecznie zniknął z mapy Europy. Rozegrały się wojny napoleońskie, utworzono Księstwo Warszawskie. Zatem za swojego żywota Andrzej był poddanym dwóch polskich królów, ale także Fryderyka Wielkiego – władcy Prus, do których po trzecim rozbiorze przyłączono ziemie na zachód od Pilicy, oraz samego Napoleona, faktycznego zwierzchnika Księstwa Warszawskiego. Wreszcie, na rok przed śmiercią, musiał jeszcze ścierpieć carskich namiestników, więc dużo tego. Zmarł zaś tuż przed Kongresem Wiedeńskim i rok po powołaniu Królestwa Polskiego pod patronatem wszechwładcy Rosji.

Czy te wydarzenia nadzwyczajnej wagi historycznej docierały do małopolskiej wsi? Czy budziły w chłopach, w tym w Andrzeju, jakieś emocje? A jeśli tak, to jakie? Czy choć trochę poruszały jego, włościanina kumorą zamieszkałego w Małoszycach pod numerem 9?

Kumorą zamieszkałego, bo Andrzej był komornikiem. Ale nie takim, jak dzisiaj – czyli urzędnikiem sądowym. Wtedy to miano oznaczało chłopą-biedaka, który nie posiadał własnej ziemi ani swojego domu. Żył razem z rodziną w izbie wynajętej od bogatszego gospodarza, niekiedy od właściciela folwarku. Za możliwość uprawiania na swoje potrzeby kawaleczka ogrodu odpłacał jedyną posiadaną monetą: odrobkiem, czyli pracą rąk własnych i rodziny. W hierarchii pańszczyźnianych stał najni-

zej. Jej szczyt stanowili pełnorolni rolnicy, trochę niżej stali domownicy i zagrodnicy – oni użytkowali kilkumorgowe gospodarstwa, posiadali własne zagrody, chlewy, stodoły i budynki gospodarcze. Hodowali owce, bydło i dysponowali własnym sprzętem do uprawy roli.

Komornik nie miał niczego. Był zwykłą siłą roboczą.

Stosowne rozdziały dzieła Aleksandra Świętochowskiego *Historia chłopów polskich w zarysie* unaoczniają rozpaczliwy obraz bytowania tej części społeczeństwa w XVIII wieku. Opisy licznych autorów, w tym zagranicznych podróżników oraz współczesnych im i późniejszych publicystów, dają się streścić w kilku cytatach. Na przykład brytyjski wojażer jadący z Krakowa do Warszawy takie poczynił obserwacje. Polski chłop miał według niego:

(...) wygląd dziki, spaloną, ciemną, prawie czarną twarz, chude policzki, zapadnięte oczy, wzrost niski. Zimą w prostym kozuchu, latem w koszuli i spodniach ze zgrzebnego płótna, boso...

Inny gość, tym razem Francuz, niejaki Rieule pisał:

(...) zobaczę tam szanowną klasę ludzi źle odzianych (...), którzy są zgrzybiali przed 40. rokiem życia z braku odżywiania się odpowiedniego ich trudom.

Powtórzę, że Andrzej Scelina w tak scharakteryzowanej grupie należał do jej części najbiedniejszej i najbardziej upośledzonej. Milej trochę dla mojego ucha brzmią słowa Juliana Ursyna Niemcewicza, który w marcu 1831 roku (17 lat po śmierci Andrzeja) podróżował z Warszawy do Krakowa w charakterze przedstawiciela władz powstania listopadowego. Napisał:

Żarnowiec, miasteczko całe w dolinie, całe oblażte Żydami, znów lasy, góry z tupkiego kamienia wybornego do budowy. Jednak używają go mało, kraj bowiem nieludny: długo w najrozciąglejszym widokresie i włość jedna spostrzegać się daje. Lud jednak rześki, ochoczy, bojowy, mężczyźni w białych sukmanach i koniecznie czerwonych czapeczkach nader przystojni, mniej kobiety. Przez morze błota i kręte parowy wjeżdża się do Miechowa.

Nie wiem, czy Andrzej bardziej przypominał głodomora z opisów zagranicznych turystów, czy dziarskiego krakusa. Wątpię jednak, żeby ja-
koś szczególnie zajmowały go wielkie wydarzenia rozgrywające się poza
rodzinną wsią. Kilka razy jednak historia dotarła i tutaj.

Skąd i jak dotarła?

Pewnie nie uwierzycie ale... nasz prapraprapradziad, komornik An-
drzej Scelina, spotkał się kiedyś z królem Augustem Poniatowskim! No,
może nie spotkał, lecz go widział, a jeśli nie samą Miłościwie Panującą
Osobę, to przynajmniej jej karocę z władcą w środku. A było to tak:

*W 1787 roku Stanisław August wracając z Ukrainy na Kraków
dnia 7 lipca z Sieciechowic wyjechał do Witowic, stąd do Żarnowca,
gdzie gościł na obiedzie. Tam przybyła p. Urszula Dembińska, staro-
ścina wolbromska (...) zapraszając króla na dzień jutrzejszy do Szczeko-
cin. Nazajutrz po mszy świętej w kościele wyjechał do Szczekocin.
O ćwierć mili od miasta spotkał Najjaśniejszego Pana Morstin, brat
p. Urszuli i konno towarzyszył królowi jadącemu w karecie. W mieście
witał króla gmin licznie zgromadzony, a przed pałacem pani starości-
na wolbromska na czele licznej magnaterii i dam dystyngowanych...*

Tak rzecze wcześniej już cytowany ksiądz Jan Wiśniewski. Królewski
przejazd musiał się odbyć pod oknami chałupy nr 9 w Małoszycach,
bo ta stała tuż przy samym trakcie wiodącym z Żarnowca do Szczeko-
cin. Wygląda więc na to, że Jędrzej, jego dwóch synów i córka oglądali
monarszą karetę zza wiklinowego płotu. A jeśli z polecenia starościny
dzierżawiającej królewską wieś Małoszyce pojawił się mój pradziad wśród
licznie zgromadzonego, bo skrzykniętego przez starościnę gminu, to i sa-
mego Stanisława Augusta.

Jednak Jędrkowi przyszło być świadkiem bez porównania ważniejszych
wydarzeń, bo w najbliższej okolicy wybrzmiał przecież ostatni akord In-
surekcji Kościuszkowskiej, powstania narodu pojmowanego szerzej niż
tylko stan szlachecki.

7 maja 1794 roku na rynku w Połańcu wydał Naczelnik uniwersał gwarantujący Andrzejom, Bartkom i całej czteromilionowej rzeszy chłopstwa wolność osobistą, możliwość swobodnego przemieszczania się oraz zmniejszenie wymiaru pańszczyzny od 20 do 50 procent. Włościanin uczestniczący w wojnie zwolniony był także ze wszystkich zobowiązań wobec pana, a ten miał zapewnić jego rodzinie pomoc. Ogłoszono powołanie specjalnych komisarzy – dozorców, których zadaniem było pilnowanie przestrzegania wszystkich postanowień. A jak ważni byli chłopci dla powstania, okazało się w tamtym czasie miesiąc przed Połańcem, w Raclawicach koło Miechowa. To oni z kosami w rękach zgotowali krwawą łaźnię Moskalom. Oni, lud rzeński, ochoczy, bojowy, mężczyźni nader przystojni, jak ich opisał Niemcewicz przy okazji kolejnego powstańczego starcia w 1830-31 roku.

W czerwcu zmagania rozegrały się tuż koło Małoszyc. Naczelnik stoczył bitwę z Rosjanami dowodzonymi przez Denisowa i Prusakami Fryderyka Wielkiego pod Szczekocinami. 26-tysięcznym połączonym armiom ze 124 armatami nie oparły się polskie siły, o połowę mniej liczne. Po tej bitwie rozegrała się już tylko jedna, ostatnia pod Maciejowicami.

Więc *Finis Poloniae*.

Przed walką 11 tysięcy Prusaków obozowało pod Ogrodzieńcem, Wierzbicą i Żarnowcem. Nie wiem, czy maszerowali gościńcem, przy którym stał dom w Małoszycach pod numerem 9. Musiał jednak Andrzej Scelina być świadkiem wojennych zdarzeń. Niestety, nie przyniosły ani jemu, ani jego sąsiadom poprawy bytu zapowiadanego uniwersałem.

Wiemy, że Andrzej umarł w marcu 1819 roku. Pochowali go na cmentarzu w Szczekocinach, na którym ponad rok wcześniej spoczął jego syn Ludwik. Wiadomo też, że przeżył go o kilka lat syn Tomasz i nieznaną z imienia córka. Czy dzieci było więcej – wiedzieć już nie będziemy.

Ludwik Scelina, drugie ogniwo w naszej genealogii, przodek przedwcześnie zmarły, przyszedł na świat w 1778 roku. Ożeniony z Agnieszką z Kozłowskich w 1805 roku spłodził syna o imieniu Andrzej. Po dziad-

ku. Informuje nas o tym proboszcz Jan Pattin, z pochodzenia lotaryńczyk, jak zaświadcza nieoceniony ksiądz Jan Wiśniewski.

Czas krótkiego, 35-letniego życia Ludwika całkowicie zawiera się w matuzalemowym wieku ojca. Bo przypomnijmy sobie relację francuskiego podróżnika o chłopach pańszczyźnianych, którzy są „zgrzybiali przed 40. rokiem życia z braku odżywiania się odpowiedniego ich trudom”.

Nie znalazłem danych o długości życia ludności chłopskiej w XVIII wieku, ale ta siedemdziesiątka niewątpliwie czyniła Andrzeja starcem. Losy naszych kolejnych przodków potwierdzają tę regułę: Andrzej był absolutnym wyjątkiem. Na statystyki, gdyby je wówczas prowadzono, miałyby zapewne wielki wpływ umieralność noworodków i małych dzieci. Z tego to powodu (co widać w aktach stanu cywilnego) dzieci chrzczono w dniu urodzin albo najwyżej kilka dni po, a to znajdowało wyraz w stale powtarzającej się formule: (...) *okazali mi dziecię na dniu dzisiejszym urodzone.., dziecięciu temu na chrzcie świętym w dniu dzisiejszym nadano imię...* W dniu dzisiejszym, bo już za kilka dni mogło nie żyć. A przecież nieochszczonego nawet nie dało się pochować w poświęconej ziemi.

Wśród potomków Ludwika zajmijmy się teraz króciutko Andrzejem – Jędrzejem, który pojawił się na świecie osiem lat przed śmiercią ojca, i którego matka wychowywała w komorniczej izbie domu pod numerem 9. Był to jednak już ostatni lokator tej izby. Bowiem Andrzej zmienił swój los za sprawą ożenku. Nie było jakiego.

Otóż w 1826 roku zmarł w Małoszycach zagrodnik Jakub Ciszowski. Pozostawił po sobie wdowę Zuzannę i małe dzieci. Kilka mórg gwałtem potrzebowało męskich rąk do pracy. Więc rzecz mogła wyglądać tak:

— Słuchajcie kumie... – zaczął od progu sąsiad, który zaszedł do Scelinów w kwestiach silnie matrymonialnych. – Wdowa po Ciszowskim, wiecie... Zuzanna... Sama została. A dzieciśka małe. I parę mórg do obrobienia, nie poradzi kobieta ...

— Ale co my na to zaradzimy? – słyszy.

— A możecie zaradzić, możecie...

— Jak niby?

— Zuzanna jeszcze całkiem urodziwa, a wasz Jasiek zdatny i robotny parobek...

— Pożenić ich chceta?

— A czemu by nie?

Niecały rok po śmierci Jakuba odbył się więc ślub, a w roli pana młodego wystąpił nie kto inny, jak nasz 21-latek Andrzej – Jędrzej, od oblubienicy młodszy o lat siedem. Ten ożenek wiele zmienił w jego życiu.

Kiedy kilka lat później ksiądz Zając odnotowuje narodziny i chrzest ich syna Jana, nazywa już Andrzeja, uwaga! – zagrodnikiem. A zagrodnik to nie komornik! Ma teraz Andrzej własny dom i na potrzeby rodziny obrabia skrawek ziemi, te kilka morgów po Ciszowskim. W końcu u wdowy chleb gotowy.

Tak to musiało być. Dalej są już tylko pytania. Ile dzieci miała Zuzanna z pierwszego małżeństwa, iloma Bóg pobłogosławił związek ze Sceliną? Nie wiemy tego. A wielka szkoda, bo właśnie czas się zająć Janem, tak dla nas wszystkich ważnym.

Wygląda na to, że był w rodzinie najmłodszym dzieckiem. W 1836 roku, kiedy Zuzanna zesła z tego świata, miał dwa latka. Ojcem też długo się nie nacieszył. Stracił go jako jedenastolatek. Co było dalej? Jak żyło rodzeństwo z jednej matki i dwóch ojców? Kto został gospodarzyć na zagrodzie? Ciszowski czy Scelina? I wreszcie, czy to wszystko wpłynęło jakoś na podjęcie przez Jana 14-kilometrowej wyprawy z Małoszyc do Jelczy? Jak wiele wcześniej, także i te zdania muszę opatrzyć znakiem zapytania, wiedząc, że nie doszukam się na nie odpowiedzi.

ROZDZIAŁ IV

O tym, jak Jan stał się jedleckim włościaninem

Przeprowadzka, która – jak się później okazało – zaowocowała wielkimi zmianami, nastąpiła być może pod koniec lat pięćdziesiątych, a może już na początku sześćdziesiątych. Celem Jana był jedlecki folwark dworski. Kilkaset hektarów ziemi wymagało rąk do pracy. Obrabiali je chłopcy w ramach przymusowej pańszczyzny, ale to nie wystarczało. Potrzebni byli jeszcze wolni najemnicy: wyrobnicy, specjaliści fornale, rzemieślnicy, hodowcy bydła, owiec.

Jan pojawił się we dworze w którejś z tych ról. Popuśćmy wodze fantazji. Mogło być tak: Jasiek pomagał w Małoszycach pielęgnować egzotyczne drzewka w oranżerii założonej przez starostów żarnowskich. Uczył się fachu ogrodnika – sadownika. Dwór w Jelczy był od strony drogi otoczony parkanem z drewnianych bali osadzonych na kamiennych słupach; „parchanem”, jak mawiała babcia Józka, która folwark z początku XX wieku dobrze pamiętała. Za ogrodzeniem mógł być sad. Pozwólmy zatem Jaśkowi dbać o pańskie drzewa...

Mało prawdopodobne?

Pewnie, że tak, ale miło brzmi! Jak było w istocie, tego się nie dowiemy. Przejdźmy więc do kolejnych faktów. Oto 3 września 1860 roku w tczyckim kościele odbyła się ceremonia zaślubin. Jan Scelina pojął za żonę Magdalenę z Pietrzyków. Świadkami byli Tomasz Dziekan i Maciej Kałużny. Proponuję właśnie ten moment uznać za symboliczny czas osiedlenia się naszej rodziny w Jelczy.

A gdzie dokładnie ?

Trzeba wyobrazić sobie wieś w całkiem innym kształcie niż ta obecna, rozległa, rozrzucona po koloniach – to jest efekt znacznie późniejszych zmian. Dopiero nastąpi uwłaszczenie, komasacja 1913 roku, masowy zakup dworskiej ziemi przez chłopów zrzeszających się w spółki i osie-

dłanie na nowych miejscach poza starą wsią. Jelcza z połowy XIX wieku to obecna „Wieś”. Domy stały wzdłuż drogi – błotnistej wąwozu, z roku na rok coraz bardziej pogłębianego przez wąskie koła furmanek na żelaznych obręczach i potoki wody spływające po każdej ulewie z otaczających ten wąwóz pagórków. Droga z jednej strony łączyła się ze starodawnym żarnowieckim traktem, a z drugiej kończyła gdzieś przy zakręcie do Olszyn. Dalej, na wschód do Uniejówki, ciągnęły się bagniste łąki i olchowe zarośla, a blisko źródła nazywanego Stokiem dwór urządził stawy rybne. Od północy, zachodu i południa Jelczę otaczały gęste lasy. Pisał o nich przemierzający drogę z Żarnowca do Miechowa Julian Ursyn Niemcewicz. Ich obecne pozostałości w postaci podmokłego Staszyna i suchego, porastającego wzgórze Chłopskiego Lasu, są już tylko symboliczne. O tym, że jeszcze półtora wieku temu rozciągały się wokół, świadczą nazwy części wsi i pól. Na południowym skraju Jelczy, na malowniczej wyniosłości rozpościera się kolonia „Na Lesie”, a otaczające ją pola to „Kopanina”, nazwana tak na pamiątkę karczowanych przez chłopów pni i korzeni pozostałych po wyciętych drzewach (trafiały się wśród nich ponoć kilkusetletnie dęby). W miejscach, w których rosły, włóścianie, tak bardzo głodni ziemi, zaczęli uprawiać ziemniaki i zboże.

Ze względu na ciasną zabudowę pierwszej linii miejscami pojawiała się druga.

Chałupy stawiano wyżej, szczytami do głównej drogi. Jedynym dziś świadkiem takiego układu jest dom państwa Szczepaników. Mój dziadek pokazywał mi miejsce, gdzie przy dróżce wcinającej się w południowy skłon głębokiego wąwozu, który stanowił główną drogę przez wieś, stała chałupa Scelinów: mniej więcej naprzeciwko obecnego domu rodziny Szczęsnych. Dziadek Jan pamiętał to miejsce doskonale. Tutaj urodził się w 1896 roku. A jak wyglądało to siedlisko?

Leżą przede mną zdjęcia XIX-wiecznych chałup z okolic Żarnowca, które przetrwały do początku naszego wieku. Fotografie te ilustrują opracowanie *Cechy architektoniczno-przestrzenne regionu* autorstwa Barbary Górnisiewicz, zamieszczone w książce *Żarnowiec – szkice z dziejów*. Widać na nich jednoizbowe chaty zbudowane z sosnowych bali łączonych

na obłap lub rybi ogon, pokryte słomianą strzechą. Do domu wchodziło się przez sień, a z niej do komory, czyli izby. Jeszcze dzisiaj, w 2021 roku, można obejrzeć taki dom przy drodze biegnącej przez Koryczany. Jest oznaczony numerem 75.

W sąsiedniej Chlinie stoi inny relikw, pewnie już ostatni w okolicy, chłopskiej osady zwanej okołem. Przestrzeń małego podwórka obudowana jest dookoła domem mieszkalnym, chlewem i stodołą, zamknięta zaś wysoką bramą wjazdową. Biednie to wygląda. Nędzę podobnych chłopskich siedlisk oddał w swych obrazach krakowski malarz z Podgórze, Aleksander Kotsis. Uwieczniał co prawda zagrody galicyjskie, ale nasze nie były inne.

W takiej chacie rozpoczęli wspólne życie Jasiak i Magda.

Przeglądałam w internecie galerię obrazów Kotsisa. Gdy tak patrzę na jego wiejskie chałupy, moją uwagę przykuwa inne dzieło, jak cała twórczość tego artysty przepojone głębokim współczuciem dla chłopskiego losu, a szczególnie nędzy dzieci. Płótno „Matula pomarli” to jakby klatka z reportażu o życiu małego Jasia. W ciemnej izbie przy łóżku, na którym leży zmarła matka, stoi kilkuletnia dziewczynka. W nogach usiadł zrozpaczony ojciec rodziny, a najbliżej przycupnął malec wyglądający na dwulatka. Przygląda się nieruchomej mamie i zapewne nie rozumie tragedii, która właśnie wydarzyła się w jego życiu. A my pamiętamy przecież, że kiedy zmarła Jasiowa mama Zuzanna, chłopczyk miał dokładnie dwa lata.

Wracam do Jelczy i młodych Scelinów. Jest rok 1860. Nie wiemy jeszcze, że wraz z nimi stoimy u progu historycznie doniosłych wydarzeń, które wstrząsną Królestwem Polskim i ziemiami nam odebranymi. Za trzy lata, 22 stycznia, wybuchnie powstanie. Ciekawym zbiegiem okoliczności piszę te właśnie słowa 22 stycznia 2021 roku, w 158. rocznicę rozpoczęcia walk.

Jak doskonale wiemy, kolejne i bynajmniej nie ostatnie z serii polskich powstań zakończyło się brzemieną w straszliwe skutki katastrofą. Zginęło sto tysięcy jego uczestników, dwieście tysięcy zesłano na Sybir.

Zlikwidowana została autonomia Królestwa, rozpoczęto całkowitą rusyfikację kraju. Czy wpłynęło to na losy wyrobnika i jego rodziny z Jelczy?

W dniu wybuchu powstania jego władza, Rząd Narodowy, ogłosiła dekret, którego pierwszy artykuł brzmiał:

Wszelka posiadłość ziemska, jaką każdy gospodarz tytułem pańszczyzny posiadał, wraz z należącym do niej ogrodem, zabudowaniami mieszkalnymi i gospodarskimi, tudzież przywilejami do niej przywiązanymi – od daty niniejszego dekretu stają się wyłączną i dziedziczną dotychczasowego posiadacza własnością.

Decyzja powstańczej władzy spotkała się z natychmiastową odpowiedzią cesarskiej administracji. Już w marcu ukazał się dekret uwłaszczeniowy. Jego ogłoszenie miało odciągnąć chłopów od udziału w powstaniu. Niestety, rosyjskie *divide et impera* osiągnęło skutek, szczególnie w drugim jego roku. Przygnębiającą ilustrację postawy części chłopów wobec szlacheckich bojowników znajdziemy na kartach *Rozdziobią nas kruki, wrony* Stefana Żeromskiego. Oto przy trupie zamordowanego przez moskiewskich żołdaków pojawił się:

(...) nowy przybysz, co zbliżał się niepostrzeżenie, chyłkiem, podobny do dużej szarej bestii. Nie był to wcale poetyczny szakal, lecz człowiek ubogi, chłop z wioski najbliższej (...). Bał się srodze Moskali, toteż prawie pełzał na czworakach. Palita go żądza pouciania rzemieni i podniecała słodka nadzieja znalezienia (...) żelastwa, postronków i odzieży na trupie. (...) przeżegnał się i zmówił głośno pacierz. Wyrzekłszy ostatnie amen, już błyskiem pożądliwości w oczach, rzucił się przede wszystkim do kieszeni i z zanadrza i począł szukać trzosa. Nic tam już nie znalazł. Obdarł tedy trupa z sukmany szmat zgrzebnych, zszuł mu buty, zabrał nawet zbłocone onucki, owinął tymi łachmanami część broni i szybko się oddalił (...). Do jednej z tych dziur zaciągnął włościanin nad wieczorem trupa powstańca i zwłoki konia (...). Zepchnął je pospołu do jednego lochu, uwikłał żerdzią między dylami i zielskiem i narzucił z wierzchu trochę gliny, aby tego żeru wrony nie wytropiły.

I komentuje finał spotkania dwu nieszczęśników Żeromski:

Tak bez wiedzy i woli zemściwszy się za tylowieczne niewolnictwo, za szerzenie ciemnoty, za wyzysk, hańbę i cierpienie ludu szedł ku domowi z odkrytą głową i modlitwą na ustach.

Powstanie upadło. Ukaz cesarski zaczęto wprowadzać w życie. Był on właściwie tożsamy z powstańczą deklaracją. Tak jak ona stanowił, że:

(...) grunta zostające w posiadaniu włościan (...) we wszystkich majątkach stają się własnością włościan, niezależnie od tego na jakiej zasadzie posiadali oni swoje osady i jakie odbywali powinności.

Uregulowanie dotyczyło również sytuacji służby dworskiej, która mieszkała w zabudowaniach folwarcznych na wsi i użytkowała ziemię w ramach wynagrodzenia za pracę. Przypuszczam, że w oparciu o tę właśnie zasadę Jan stał się pełnoprawnym posiadaczem gospodarstwa – osady włościańskiej.

Nie da się przecenić wagi tej chwili w losach przodka naszej rodziny i tysięcy chłopów w Królestwie. Relacjonowałem już informacje z przeszłości, wcześniejsze od ogłoszenia uwłaszczenia o 120 lat. Pisałem o Andrzeju, Ludwiku, Andrzeju – Jędrzeju. Oni, tak jak dziesiątki pokoleń przed nimi, nie posiadali żadnej własności. Byli komornikami, zagrodnikami, obrabiającymi pańską ziemię w zamian za użytkowanie spłachetka na własne potrzeby. Podlegali od wieków, mówiąc za Żeromskim, wyzyskowi i byli utrzymywani w ciemnocie i pohańbieniu ludzkiej godności.

Rok narodowej klęski przyniósł Janowi własność. Stał się włościaninem w pełnym znaczeniu tego słowa. Posiadł własność i samodzielnie o niej decydował. Majątek mógł sprzedać (ale tylko innemu chłopu), a po śmierci dziedziczyły go dzieci. Ukaz wprowadzał tylko jedno ograniczenie: nie było wolno przy przeprowadzaniu postępowań spadkowych dzielić gospodarstw. Postanowienie mądre, bo zapobiegało rozdrabnianiu tego, co i tak z trudem zapewniało utrzymanie jednej rodzinie.

W Jelczy zdecydowana większość ziemi po reformie nadal pozostała w rękach dworu. Zachował on 1336 morgów, podczas gdy do chłopów trafiło 449. Takie informacje są zawarte w *Słowniku Geograficznym Kró-*

lestwa Polskiego. Możemy w nim przeczytać także, że na początku lat osiemdziesiątych we wsi były 52 domy. Jak dokładnie policzono, mieszkało w nich 446 osób, w tym 221 mężczyzn i 228 kobiet. W tych liczbach mieściła się rodzina Jana i Magdaleny.

Włościanin Scelina z Jelczy. Włościanin.

Pamiętam jak wnuczek tamtego Jana, a mój dziadek, też Jan, wymawiał to słowo: „włościjanin”. Brzmiało w jego ustach mocno i dumnie.

Przyszedł wreszcie czas, abym mógł bardziej niż do tej pory oprzeć się na konkretnych danych zawartych w dokumentach. Uwłaszczyć na faktach zapisanych w papierach z naszego domowego archiwum. Zaczniemy od tego, że podstawowym dokumentem regulującym proces uwłaszczenia były tak zwane tabele likwidacyjne, sporządzane oddzielnie dla każdej wsi. Figurowały w nich zapisy o nadaniu poszczególnym chłopom „osad włościańskich”, czyli gruntów ze stojącymi na nich budynkami.

I tak Jan Scelina został zapisany w tabeli likwidacyjnej wsi Jelcza pod numerem 61/62 z nadaną mu osadą o powierzchni pięć morgów 51 prętów, albo według miary rosyjskiej około dwóch dziesięcin jednego tysiąca pięćdziesięciu dziewięciu sążni ziemi z zabudowaniami i prawami do serwitutów. Dowiadujemy się tego z najstarszego dokumentu, jaki posiadam, mianowicie z pierwszego wypisu z aktu notarialnego, zawartego u notariusza miechowskiego Władysława, syna Antoniego Ankiewicza, w rejestrze za 1903 rok nr 1374. Sporządził go urzędnik miechowskiego Sądu Pokoju. Oczywiście po rosyjsku, przepięknie kaligrafowany grażdanką na dwu kartach papieru dużego formatu, który po 118 latach przybrał szlachetny kolor sepii.

Nikt by teraz nie wiedział, co w nim miechowski notariusz zapisał, gdyby nie moja znajomość języka rosyjskiego. Oprawiony w ramy akt zdobi jedną ze ścian naszego kieleckiego domu. Dotyczy sprawy spadkowej po zmarłym Janie. Ale o tym później.

Jak wspomniałem, powierzchnia uwłaszczeniowego gospodarstwa podana jest w dwóch miarach: rosyjskiej (dziesięciny i sążnie) oraz polskiej (morgi i pręty). Przeliczyłem je i okazało się, że obejmowała prawie trzy

hektary. To bez mała tyle, ile obecnie mają łącznie działki nasza i Stasz-kowa (a teraz już naszych dzieci) na Perzówce.

Zmienił się fundament, pozostała jednak bieda i codzienny trud, aby wyżywić rodzinę. A Bóg błogosławił licznym potomstwem. Pierwsze pięcioro dzieci rodziła Magda z podziwu godną regularnością, w równych odstępach dwóch lat:

- **Elżbietę** – 11 maja 1861 r.
- **Idziego** – 25 sierpnia 1863 r.
- **Wojciecha** – 29 marca 1865 r.
- **Mariannę** – 30 sierpnia 1867 r.
- **Andrzeja** – w 1869 r.

Później pojawiły się jeszcze dwie dziewczynki:

- **Anna** – ur. w 1973 r.
- **Julianna** – której daty narodzin nie znalazłem.

Najstarsza z rodzeństwa, Elżbieta, żyła tylko trzy miesiące. Jej zgon zgłosił na plebanię ojciec, z którym przyszedł jako świadek pięćdziesięcioletni Jan Pietrzyk, zapewne jego teść, ojciec Magdy. Jak zapisał w księdze zgonów ówczesny proboszcz tczycki Fabian Przybyłowski, obaj byli niepiśmienni.

Równie szybko małżonkowie pochowali swoje drugie dziecko – Idziego. I on zmarł jako niemowlę. Pozostała piątka już szczęśliwie przeżyła. W 1879 roku w jednej izbie jedleckiej chałupy mieszkała siedmioosobowa rodzina. W niczym w tym względzie nie odbiegała od ówczesnej normy. Przypomnę: 52 domy zamieszkiwały w Jelczy Anno Domini 1880 roku 449 osoby.

Nie dało się wyżywić tylu gąb z trzech hektarów. Nadal musieli się najmować do roboty we dworze. Folwark stał się wtedy olbrzymim pracodawcą. Uwłaszczenie pozbawiło dziedzica darmowych rąk, od setek lat gwarantowanych przez pańszczyznę. A w Jelczy do obrobienia pozostało przecież 668 hektarów pańskiej ziemi. Teraz jednak za chłopską robotę trzeba już było zapłacić.

I tak w chałupach pojawiły się pieniądze: kopiejki, a z czasem i ruble. W ten sposób Scelinowie i ich sąsiedzi, gospodarze na własnych zagrodach, stopniowo włączali się w gospodarkę towarowo-pieniężną. Jako mikroskopijne drobinki, ale jednak. Dosięgła ich też jedna z dwu konieczności nie do uniknięcia na tej ziemi. Podatki.

Jak zapisano w akcie koloru sepii, z osady włościańskiej w Jelczy, zapisanej w tabeli likwidacyjnej pod numerem 61/62, należało do carskiego skarbu płacić 2 ruble 13 kopiejek podatku głównego rocznie. Z tych chłopskich opłat rząd wynagradzał w postaci obligacji i odszkodowań częściowo wywłaszczonych w 1864 roku dziedziców.

Jan umarł w 1879 roku. Odszedł pierwszy w Jelczy Scelina i pierwszy w historii rodziny gospodarz na własnych morgach. Był uczestnikiem zmian rewolucyjnych zarówno dla niego, jak i dla wszystkich chłopów w Królestwie. W ciągu ostatnich lat jego życia wydarzyło się niezwykle wiele. Niezmienna pozostała tylko nędza. Dożył 45 lat. W domu, z dobiegającą pięćdziesiątki żoną, pozostawił pięcioro dzieci. Najstarsze miało czternaście lat, a najmłodsze cztery. Synowie musieli zastąpić ojca w obrabianiu pola i wynajmować się do roboty na folwarku, bo przecież przepisy o pracy małoletnich to wynalazek znacznie późniejszych czasów. Dziewczynki szybko stały się gospodyniami.

Historia dziecięcego osierocenia powtarza się w naszej rodzinie regularnie. Pamiętamy dzieje Jaśka, przyglądamy się gromadce pozostawionej przez niego.

To samo wydarzy się w następnym pokoleniu, równo za czterdzieści lat, z tą tylko różnicą, że dzieci czternastoletniego teraz Wojtka będą trochę większe. Jasne staje się, dlaczego na gospodarce zazwyczaj zostawali najstarsi synowie: wcześniej musieli zastąpić zmarłych ojców oraz pomóc w wychowywaniu młodszego rodzeństwa. Trzeba je było wykarcić, ubrać, dziewczyny powydawać za męża, a na koniec wszystkich pospłacać. Uwłaszczenie otwiera bowiem w historii rodziny nowy rozdział: niekończące się, wyniszczające spłaty.

Nie mam już więcej wiadomości na temat mojego drogiego Jana. Kończy się ta część opowiadki. Pozostało tylko odprowadzić go razem z wdową, dziećmi i sąsiadami na tczycki cmentarz.

Do kościoła może przywieźli ciało Jana wozem na żelaznych kołach, ale prędzej saniami, bo zimowy styczeń zawiął drogę śniegiem i pewnie ciężko byłoby jechać żelazniakiem pod Bartkową Górę. Po mszy zanieśli na ramionach trumnę na cmentarz. W jednej czwórce niósł ojca Wojtek. Przecież miał już 14 lat. I tak tej zimy pogrzebano pierwszego Scelinę na pięknym, górującym nad całą okolicą cmentarzu we Tczycy.

Jego i Magdy grób-kopczyk ziemi z drewnianym krzyżem nie przetrwał długo. W tym miejscu chowano później zmarłych z rodziny Pietrzyków. Pamięć jednak i tym razem nie zawiodła. Mój ojciec wspominał, że jego ojciec a mój dziadek zapalał na Wszystkich Świętych swojemu dziadkowi świeczkę. Tata pokazał mi, w którym miejscu północno-wschodniej części cmentarza. Teraz jest tam pomnik z lastriko, a na tablicy wśród nazwisk rodziny Pietrzyków widnieje i nasze. Spoczywa w tym grobie razem z Janem i Magdą ich córka Julianna, zmarła jako panna. Zaprowadzę tam Anię i Wojtka, niech i oni zapamiętają.

A teraz żegnam się z już Tobą, mój drogi Janie pionierze, przybyszu z Małoszyc i pierwszy jedlecki włościaninie.

ROZDZIAŁ V

O Wojtku, Maryśce i wiernej miłości

Czas płynął, dzieci dorastały, Wojtek stawał się faktycznym następcą ojca na gospodarce. Stopniowo zmieniała się też wieś. Folwark oparty wcześniej na darmowej pracy, którą zapewniała pańszczyzna, stanął w obliczu problemu pieniędzy na opłacanie robotników, zakup koni i sprzętu rolniczego, bezpłatnie dostarczanego dotąd przez chłopów. Z drugiej strony narastał głód ziemi u włościan biedujących z dużymi z reguły rodzinami na kilkumorgowych gospodarstwach z uwłaszczeniowego nadania.

W 1872 roku w Guberni Kieleckiej, na terenie której leżała Jelcza, 26,2 procent osad chłopskich miało powierzchnię poniżej trzech mórg, 52,2 procent od trzech do 15, a 21 procent – ponad 15. Dawało to przeciętną 5,7 morgi. Gospodarstwo Scelinów mieściło się idealnie w tej przeciętnej.

Odpowiedź na problemy dworu i włościan mogła być tylko jedna: kupno przez chłopów folwarcznej ziemi. Ale oni oczywiście nie mieli pieniędzy. I wtedy, pod koniec XIX wieku, w chłopskim życiu po raz pierwszy pojawił się... kredyt. Udzielał go, powstały 1890 roku w Królestwie Polskim, Bank Włościański. Można było uzyskać pożyczkę nawet do 90 procent wartości kupowanej ziemi, z terminem spłaty prawie trzydziestoletnim.

Wróćmy jednak póki co do lektury aktu notarialnego z 1903 roku. Dowiemy się z niego, jak spadkobiercy Jana podzielili się majątkiem pozostałym po jego śmierci. Przypomnijmy, że przedmiotem rozliczenia była osada zapisana w tabeli likwidacyjnej pod numerem 61/62, o powierzchni w przybliżeniu trzech hektarów, wyceniona przez nich samych na 1150 rubli.

Do aktu stanęły wszystkie dzieci: Wojciech; Anna (teraz już Włodarczyk), zamieszkała z mężem we wsi Góra Siewierska w powiecie będzińskim; Marianna – po mężu Gola; niezamężna Julianna i Andrzej.

Zapisano, że jedynym i pełnoprawnym posiadaczem gospodarki staje się Wojciech, spłaciwszy siostry i brata kwotą po 230 rubli każde. Posiadaczem: *w całej jej rozciągłości i składzie, ze znajdującymi się na niej budynkami i prawami do serwitutów.*

W odróżnieniu od niepiśmiennych sióstr, Wojciech podpisał akt własnoręcznie. Witamy go więc jako pierwszego w rodzinie, który posiadał tę sztukę (a było to zaledwie nieco ponad wiek temu).

O rozwoju gospodarstwa zdecydował wspomniany przed chwilą Bank Włościański. Piętnaście lat od aktu z 1903 roku, w chwili śmierci Jana (o jej smutnych i poruszających okolicznościach napiszę jeszcze), gospodarstwo znacznie się rozrosło. Składało się teraz z osady zapisanej pod numerem 57 w tabeli likwidacyjnej, sporządzonej po komasacji 1913 roku, o przestrzeni trzech dziesięcin, 1607 sążni; działki nr 18 w spółce Jelcza Olszyna, obejmującej pięć mórg, i działki w spółce Zastodole o powierzchni dwóch mórg.

Ponownie przeliczyłem miary. Z ruskiego na nasze. Trzy dziesięciny 1607 sążni to prawie cztery hektary, siedem mórg daje drugie tyle. Razem bez mała osiem hektarów. Ziemię w Olszynie i Zastodolu Wojciech kupował jako udziałowiec dwóch spółek, założonych z sąsiadami, bo tylko one mogły stanowić prawnego kontrahenta banku, potrzebnego do zaciągnięcia pożyczki. Prawo własności Zastodola wyglądało zaś następująco:

Działka 31 hektarów, trzy tysiące osiemset dwadzieścia metrów kwadratowych gruntu obejmująca, w spółce dwudziestu gospodarzy, przy pomocy Banku Włościańskiego nabyta.

Stan posiadania Wojciecha w chwili jego śmierci podany jest w spisie dóbr sporządzonym na urzędowym druku przez jego dzieci, w obecności sołtysa Tomasza Kasprzyka i świadków w osobach Macieja Zegarka i Wincentego Koniecznego. Oraz biegłych mężów zaufania: Mikołaja Kasprzyka i Jana Wątorka, wybranych przez sukcesorów. Poza ośmioma hektarami gruntu, wycenionymi w markach polskich na kwotę 3,35 mi-

liona, spisano także mienie ruchome. Oceńmy z naszego, współczesnego punktu widzenia, to bogactwo:

— Czytajcie, Mikołaju – odezwał się sołtys.

Mikołaj odchrząknął dla dodania sobie animuszu i zaczął:

— Ano będzie tego tak: łóżka – dwa, stoły – jeden, stołki – trzy, beczki – dwie, cebrzyk – jeden, wiaderko – jedno, żarna – jedno, garnków żelaznych – trzy, dzieża – jedna, niecki – jedna. Do tego idzie jeden kozuch – pociągnął nosem.

— Wszystko?

— Tak wychodzi. Ale...

Osobno wymieniono klacz ze źrebięciem i narzędzia gospodarcze, wóz, dwoje sań, pług, brony, sieczkarnię, chomąto i trzy sierpy. I to wszystko. Drogie dzieci, drodzy wnukowie. Zastanówcie się kiedyś nad maksymą, którą wyczytałem gdzieś w sieci: „Człowiek tak naprawdę ma małe potrzeby, cała reszta jest tylko na pokaz”.

Te osiem hektarów to jak na małopolską wieś całkiem sporo. Tyle tylko, że majątek Wojciecha był obciążony olbrzymim w stosunku do możliwości gospodarstwa długiem. Raty pochłaniały każdą kurę i każde jajko, które szły do żarnowskiego Żyda. Scelinowie spłacali je kolejno: w rublach, polskich markach, a na koniec w złotówkach.

Do niedawna myślałem, że markowa inflacja z początku lat 20. w Polsce, która w ciągu dwu lat osiągnęła 2 500 procent, pozwoliła jakoś łatwiej i może szybciej uwolnić się od długu. Na pewno nie nastąpiło to jednak przed 1921 rokiem, bo po śmierci Wojciecha jego najstarsza córka Marianna (Maryna Konieczna z Lasu), odstępując swoją część majątku bratu Janowi (mojemu przyszłemu dziadkowi), zabezpiecza się zapisem, że będzie on: (...) *placił (...) tak zaległe jak i bieżące raty długu Banku Włociańskiego*. A ze wspomnień mojego ojca wynika, że raty spłacali jeszcze wiele lat później.

Śledząc, jak Jan Scelina regulował zobowiązania wobec rodzeństwa, można przerobić praktyczną lekcję przebiegu hiperinflacji markowej

i błogosławionych skutków reformy monetarnej Jana Grabskiego z 1924 roku. Porównajmy spłaty równych części majątku:

- **Maryna** – rok 1921 – 50 tys. 250 marek,
- **Andrzej** – rok 1924 (tuż przed reformą) – 450 mln marek,
- **Teofila** – rok 1928 – 2600 złotych polskich.

Jaka była rzeczywista wartość powyższych kwot, Bóg raczy wiedzieć. Wydawało mi się, że najgorzej na całym zamieszaniu mógł wyjść Andrzej. Wygląda jednak na to, że nie został uszczęśliwiony bezwartościową górką marek, bo dopiero w 1931 roku podpisał pokwitowanie odbioru od brata, tytułem spłaty po ojcu, kwoty 3200 zł:

Dnia dwudziestego marca tysiąc dziewięćset trzydziestego pierwszego roku. Ja niżej podpisany mieszkaniec wsi Swojczany, Gminy Tczyca Andrzej Scelina syn Wojciecha, niniejszym kwituję mieszkańca wsi Jelcza, Gminy Tczyca Jana Scelinę z odbioru od niego sumy 3.200 (trzy tysiące dwieście), należącej mi się od niego z dobrowolnej umowy podziału spadku po świętej pamięci Wojciechu Scelinie. Z odbioru powyższej sumy osobiście się podpisuję, Andrzej Scelina.

Tych parę lat musiało zająć Jaśkowi uciulanie potrzebnych pieniędzy, a Andrzej, ulubiony brat dziadka i człowiek dusza, pewnie nie pilił, tym bardziej, że już pracował w belgijskiej kopalni. Warto przy okazji pomyśleć o trudnościach, z jakimi musiała się zmierzyć powstająca II Rzeczpospolita. Andrzej miał tego świadomość.

— Jasiek, groszem nie śmierzisz. a pola trzeba by ci przykupić. Ja jakoś przędę, dzięki Bogu – mógł mitygować honorowego mocno brata.

— A co tam przędziesz! Też jak wół harujesz!

— Każdy haruje. Na kopalni inaczej się nie da. Ale nie będę cię poganiał, bo mam co do garnka włożyć...

— Ale jakże to tak: nie oddać na czas?

— Oddać, oddasz, ja cię znam. A czas nie najważniejszy tu, Jasiek. Wierz mi...

Borykając się z kredytem, już po raz kolejny porzuciłem chronologię. A przecież żyje jeszcze Wojciech. Uczestniczy w zmianach zachodzących w Jelczy. Tymczasem folwark z coraz większym trudem radzi sobie z brakiem rąk do pracy. Więc zaczyna je zastępować maszynami.

Pierwsze pojawiają się żniwiarki, bo w czas żniw najtrudniej zwerbować pracowników – wtedy chłopcy obrabiają swoje morgi. Później dochodzą parowe albo kieratem napędzane młockarnie i siewczarnie. Włóścianie hodujący więcej zwierząt niż na folwarku zaczynają nawozić swoje pola. Rosną więc plony. Część dzieci jest posyłana do dwuklasowych szkół.

Jelcza z początku XX wieku różni się już od tej z pierwszych lat po uwłaszczeniu. Zakupione kolonie, uregulowane w trakcie komasacji z 1913 roku, zabudowują się nowymi gospodarstwami. Wojciech też buduje DOM.

Nasz DOM na Perzówce.

Rodzina zamieszkała w nim w 1918 roku. I to z niego wyruszył Wojciech w wielką ekspedycję do odległych o niebotyczne sto kilometrów Kielc. Celem była siedziba Hipoteki Wojewódzkiej. Zastanawiam się jedynie, co pradziadek miał tam do załatwienia? Może razem z sąsiadami regulowali zapisy dotyczące spółek Olszyna i Zastodole, znosząc współwłasność i obciążając hipoteki poszczególnych gospodarzy? Jeśli tak, to nie jechał sam, a w ich towarzystwie. Podróż prawdopodobnie odbył koleją.

A'propos pociągów: w 1885 roku uroczyście otwarto drugi odcinek kolei Iwanogrodzko-Dąbrowskiej, łączącej Kielce z Dąbrową Górniczą. Na jej trasie, w szczerym polu dóbr Charsznica, powstał dworzec kolejowy, oficjalnie nazwany Miechów – Charsznica. Wyobrażam sobie, jak grudniowym porankiem 1918 roku, żegnany przez żonę Mariannę, wsiada pradziadek do sań zaprzęgniętych przez najstarszego syna Jaśka w kobyłę i ruszają na stację. Przez zasypane śniegiem głębokie parowy dojeżdżają do osady, która zdążyła już powstać wokół kolei.

Na sam dworzec raczej nie wstąpił, bo ów budynek jest w tamtym czasie ruiną. W trakcie wojny, w 1915 roku splądrowali go i spalili Niemcy.

Na fotografii z 1919 roku widzę ściany gmachu z pustymi oczodołami okien, pozbawione charakterystycznych wysokich dachów nad każdą z jego czterech brył. Kielecki dworzec, na którym wysiadł Wojtek, przeżył to samo. Na początku wojny wysadzili go w powietrze Rosjanie, ale wkrótce, w nieco zmienionej formie, został odbudowany przez Austriaków. Pradziadek zobaczył go już w pełnej krasie.

To pierwszy z imponujących widoków i pewnie zrobił on na przybyśzu olbrzymie wrażenie. Bo przecież komuś, kto z Jelczy wyprawiał się najdalej do Żarnowca na poniedziałkowe jarmarki, Kielce musiały się wydać niewyobrażalnie wielkim miastem.

Od dworca do hipoteki jest kilometr. Wytężam wyobraźnię, żeby zobaczyć pradziadka w obszernym kożuchu (tym ze spisu inwentarza), butach z cholewami i baraniej czapce, jak kroczy ulicą Franciszka Józefa, rozglądając się wokół. Franciszka Józefa, bo kielecka młodzież rozbroiła resztki garnizonu austriackiego zaledwie miesiąc wcześniej, więc jeszcze nie zdążono nazwać dzisiejszego deptaka imieniem Henryka Sienkiewicza.

Więc pradziadek spoziera uważnie. Po jego prawej ręce, aż do ulicy Czystej (obecnie Paderewskiego), nie ma jeszcze budynków. Od pół, na których uprawia się ziemniaki i kosi siano, odgradza go parkan. Potem podziwia Wojtek piękne gmachy Hotelu Polskiego, Teatru Ludwika, a z wylotu ulicy Dużej otwiera się przed nim perspektywa na katedrę i Dawny Pałac Biskupów Krakowskich. Imponuje swoją bryłą, pomimo że Rosjanie usunęli cztery wieże z narożnych baszt, żeby nie zdominowały widoku tych cebulastych zwieńczeń cerkwi, którą zbudowali nieopodal przed pięćdziesięcioma laty. Swoje sprawy zacznie za chwilę załatwiać w pięknym budynku wzniesionym w 1824 roku, który na rogu ulic Sienkiewicza i Hipotecznej stoi do dzisiaj i do dzisiaj pełni tę samą funkcję.

Pradziadek wrócił do Jelczy zapewne pełen wrażeń, ale zmęczony i skostniały z zimna. Przeziębził się. Choroba rozwinęła się błyskawicznie i przerodziła w zapalenie płuc. Nie stosowano jeszcze odkrycia Fleminga z 1928 roku, czyli penicyliny, więc zapalenie zazwyczaj kończyło się śmiercią.

W tym miejscu muszę podzielić się wątpliwościami dotyczącymi pradziadkowej wyprawy. One być może zadają kłam temu, co kilka stron wcześniej napisałem.

Przeglądałem w Wikipedii informacje o historii tunelu kolejowego w Uniejowie – Rędzinach, nazywanego po prostu Tunelem. I okazuje się, że na początku wojny, w 1914 roku, przekop pod Białą Górą został przez Rosjan wysadzony w powietrze. Odbudowało go Państwo Polskie dopiero pod koniec 1920 roku. Nie mógł więc Wojtek jechać koleją do Kielc, wyruszając z Charsznicy.

Ale mógł z Kozłowa.

Tylko czy wtedy, pod koniec 1918 roku, kolej w ogóle funkcjonowała? Załóżmy, że nie. W takim razie jeśli nie koleją, to jak? Przecież nie końmi. Z Jelczy do Kielc jest ponad 90 kilometrów. No więc nie wiadomo. Ale jedno jest pewne. Mój dziadek wspominał, cytuję prawie dosłownie: *ojciec pojechał na zapisy do Kielc, zaziębił się, dostał zapalenia płuc i umarł.*

Relacja 22-letniego wówczas naocznego świadka i uczestnika wydarzeń musi być w stu procentach pewna! Nie pozostaje mi więc nic innego, niż kolejny raz pogodzić się z faktem, że tej historii nie potrafię wyjaśnić, i pozostawić to, co napisałem, tak jak jest.

Nie doczekał Wojciech Scelina wigilii Bożego Narodzenia. Umarł 20 grudnia 1918 roku. W nowiutkim domu, pachnącym sosnową żywicą świeżutkich bali, zgromadzili się sąsiedzi, żeby z rodziną zmarłego czuwać nad jego otwartą trumną. Nazajutrz wasąg zawiózł Wojciecha do kościoła we Tczycy, tak jak 40 lat wcześniej jego ojca.

Od tamtego czasu świątynia zmieniła się nie do poznania. Kosztem 1500 srebrnych rubli, wyłożonych przez Wandę z hrabiów Górowskich Wielowiejską, dwukrotnie ją powiększono. Roboty skończono w 1903 roku, a w 1905 kościół został poświęcony. W tym kształcie znamy go dzisiaj.

Razem z sąsiadami niósł ojca na cmentarz Jasiak. Wojciech spoczął w mogile z drewnianym krzyżem w północno-zachodniej części nekro-

polii. Ona sama też się zmieniła zaledwie na kilka lat przed opisywanym smutnym wydarzeniem. Cmentarz został, jak donosi kronikarz Wiśniewski: *omurowany i osztachetowany kratą żelazną w roku 1908-1909 przez księdza Mazurka, proboszcza miejscowego, który też i figurę Najświętszej Marii Panny na skale stojącej, na pamiątkę jubileuszu Niepokalanego Poczęcia postawił.*

Dobrym gospodarzem musiał być ksiądz Władysław Mazurek. Ale i krewkim duszpasterzem, niestety. Bardzo źle zapisał się w pamięci mojego dziadka Jaśka. Kiedyś, pewnie latem, chłopak stał z rówieśnikami przed kościołem, zamiast wejść do środka. Pasterz zaczął zaganiać owieczki do swej zagrody... pasem. Pas dosięgnął Jaśka sprzączką i rozorał mu głowę do krwi. Do końca życia zapamiętał dziadek proboszcza. Każde wspomnienie o nim okraszał ciężkim słowem.

Poprzednikiem Mazurka (którego zamaszysty podpis mogę oglądać w rodzinnym archiwum na wyciągach z aktów stanu cywilnego parafii Tczyca, w tym akcie śmierci Wojciecha), był ksiądz Franciszek Kozerski. Według świadectwa dziejopisa Wiśniewskiego i ten proboszcz nie miał wysokiego mniemania o swoich parafianach: (...) *chłop chociaż się kłania i mówi z tobą, wiedz, że na ciebie poza sobą trzyma kamień, którym lada chwila uderzy cię boleśnie, ostrzegał kolegów po fachu.*

No cóż. Wzajemnej miłości najwyraźniej nie było.

Pisząc o naszych przodkach, skupiałem się do tej pory na mężczyznach. Kim był, co robił Andrzej, Ludwik, Jędrzej, Jan, Wojciech... Prababki wspominałem niejako przy okazji. Ale wzruszająca historia, którą za chwilę opowiem, dotyczy kobiety: Wojtkowej żony Marianny, pewnie na co dzień nazywanej Maryśką.

Znalazł pradziadek swoją pannę w rodzinie Romanów w Marcinkowicach, wsi za Uniejówką, którą dobrze widać z naszego pagórka za stodołą. Niewysoka, czarnowłosa – tak zapamiętał ją Jasiiek, który swoją urodę po niej odziedziczył, bo ojciec podobno był blondynem. Miała 21 lat,

kiedy się pobierali. Razem przeżyli 28. Urodziła i wychowała siedmioro dzieci – trzy dziewczynki i czterech chłopców.

Kiedy przeprowadzali się ze Wsi do nowego domu na Perzówce, jej córki Maryna i Hanka poszły już za męż. Miało się chyba ku lepszemu, tak musiała myśleć. Musiała też strasznie się cieszyć na pierwszą Wilię Godnich Świąt w nowym, pachnącym sosnową żywicą domu, z którego na pewno była, tak po babsku, szalenie dumna. Wtedy Wojtek pojechał do Kielc, wrócił, zachorował i jak pamiętamy – wkrótce umarł.

Została sama.

Jak później wspominali, „coś zrobiło się jej z głową”. Nie dawała się dzieciom utrzymać w domu: co rano uciekała i siadała pod chałupą Zegarków. A tak ją prosili...

— Nie idźcie, mama, zimno takie, to marzec przecie...

— Nic tu po mnie – odpowiadała głucho.

— Mama, jego tam nie ma. W domu poczekacie...

— Nie, nie... Muszę... przykrzy mi się za nim tak strasznie... Puśćcie dzieci, nie trzymajcie...

I szła. I patrzyła na Magierowe obejście, pagóry w Olszynach, i czekała, aż on wróci. Ten obraz z opowieści dziadka tkwi we mnie od lat.

I teraz, kiedy to piszę, widzę prababcie wyraźnie, z całym jej bezradnym bólem, i mnie, staremu chłopu, wilgotnieją oczy.

Nie wiem, czy Marianna też nabawiła się zapalenia płuc, czy aż tak bardzo zapamiętała się w swej boleści, że po trzech miesiącach już nie żyła. Dzieci w asyście sąsiadów pochowały mamę w marcu. Po trzech miesiącach rozstania Marianna i Wojciech znowu byli razem.

ROZDZIAŁ VI

O Naszym Domu

Chałupę wzniesli na przyciesi z dębu przywiezionego najprawdopodobniej z Chłopskiego Lasu (wciąż jeszcze serwitutowego, czyli dającego między innymi prawo do pozyskiwania przez włościan budulca). Przykryła ją obfita czapa naczulkowego dachu poszytego strzechą ułożoną z małych snopeczków (kowiorków), wykręcanych z żytniej słomy. Bale ścian połączono w wieniec i pociągnięto wapnem.

Sień dzieliła budynek na dwie nierówne części. Na lewo wchodziło się do 20-metrowej izby, a z niej do małej komory. Po prawej stronie powstał chlew dla konia, krów i świń. W izbie nie było podłogi, tylko gliniana polepa. Powalę z ręcznie struganych desek osadzono na dwóch stragarzach. Jeden z nich jakiś stolarz (a może był to mój dziadek Jasiek) ozdobił rozetą – kołomirem i pięknie wykaligrafowanym napisem:

B. Boże temu domowi i mieszkańcom w nim JW i M Scelina 1918 r.

Ta litera B na początku oznacza oczywiście „błogosław”. Widocznie autor zaczynając robotę bał się, że na dłuższy napis nie starczy miejsca na belce. JW i M to rzecz jasna „Jan, Wojciech i Marianna”. Dodajmy, że chałupę ogrzewał gliniany piec z drewnianym okapem, postawiony przy jedynym w całym domu kawałku ściany murowanej z kamienia, który lata temu tak zachwalał Niemcewicz jako doskonały materiał do budowy fajermuru.

I do tej pory już ponad sto lat stoi nasz dom przy drodze na Perzówce. Wciąż ten sam, choć przecież nie taki sam. Zmieniał się w trakcie minionego wieku na modłę opisaną w urokliwej książce Władysława Łozińskiego, wydanej we Lwowie *Życie polskie w dawnych wiekach. O powstawaniu szlacheckiego gniazda*. Autor pisze tam:

(...) dwór staropolski (...) nie był nigdy od razu gotów (...) stawał się powoli, robił się, aż stał się i urósł w pełni. Miał swoją biografię jak człowiek,

a ta historia jego życia czytała się w jego przystawkach, przybudówkach i dobudówkach.

Całkowicie był gotów dopiero wtedy, gdy pomieścił w swoich ścianach trzy pokolenia. Miał więc sto lat wzrostu i dojrzewania. Dziad go zaczął, wnuk skończył. I bez wielkiej przesady mógł o nim śpiewać Wespazjan Kochowski:

*Tu ojciec z dziady, krewnych gromady
i mali wnukowie dzieciństwa doszli,
w zgodzie rośli
przy swojej starszej głowie.*

Może rzeczywiście trochę mnie poniosło z tą analogią... Wszak my nie herbowi, a chałupa nie dwór. To prawda, ale zbudował ją mój pradiadek, rozbudował dziadek, potem mój ojciec i wreszcie ja dołożyłem kolejne ściany. Teraz dom przyjmuje pod swoim dachem naszą córkę i naszego syna z rodzinami – ich dziećmi, a naszymi wnukami. Więc przebiła zwykła jedlecka chata sam dwór z jego trzema pokoleniami. I to przebiła w dwójnasób. To plebejuskę nobilitowało, czyli uszlachciło. Właśnie z tego powodu piszę Nasz Dom dużą literą.

Oto jak odbywało się jego „wzrastanie i dojrzewanie”:

W 1947 roku dziadek wspólnie z najstarszym synem, moim stryjem Felkiem, zbudowali z pustaków przestronny chlew. Pomieszczenie po prawej stronie od sieni, opuszczone przez ryczący i kwiczący inwentarz, zamieniło się w komorę. Magazynowano w niej zboże w skrzyni – sąsieku i wiele różnych rzeczy, co to szkoda wyrzucić, bo mogą się przydać, a nie przydadzą nigdy. Powstał też od strony podwórka (mówiło się: od trawnika) korytarz, którym przechodziłeś do chlewa. Był on szczególnie przydatny w słotne albo zimowe dni. Jego część mieściła warsztat stolarski. Na gwoździach wbitych w ścianę wisały piły, piłki, heble, a podłogę wiecznie zaścielała warstwa drewnianych wiórów, pięknie pachnących świeżo obrobionym drewnem i żywicą. Jako dziecko uwielbiałem to miejsce i jego zapachy.

Kilka lat później rozbudowę przeszedł sam dom. W miejscu komory powstała druga izba mieszkalna – pokój. Tym sposobem chałupa wydłużyła się o jakieś trzy metry na zachód. Wstawiono nowe skrzynekowe podwójne okna, których wewnętrzną część zdejmowano na lato. Zrobił je świetny stolarz z Żarnowca, nomen omen też Scelina. Najwyraźniej kontynuował długą rodzinną tradycję roboty w drewnie, bo w znalezionym na wieży tamtejszego kościoła pod wezwaniem Narodzenia Najświętszej Marii Panny dokumencie zapisane jest, że przy jego remoncie w 1861 roku:

(...) zatrudniali się reperacją około kościoła Łukasz Scelina majster cieśla z wynagrodzeniem, Józef Szczepanik Odwaga, jako podmajstrzy już w roku 1836 wzmiankowany przy takiejże robocie, Paweł i Michał Scelinowie, majstrowie ciesielscy. Zaś do pokrycia blachą kopuły użytym był starozakonnny Icyk Goldsztajn, blacharz z Pilicy.

Jako dziecko od drugiego do szóstego roku życia mieszkałem w tym pokoju Naszego Domu z mamą. Ojciec przyjeżdżał tylko na niedziele, bo pracował na Śląsku. Pamiętam Nasz Dom jeszcze kryty słomą. Mówiąc nawiasem, pokrycie dachu zmieniane było kilka razy. Pierwszą ofiarą postępu padła strzecha właśnie i osobiście brałem udział w jej zrzucaniu. Kurz, jaki wzbijał się ze spadających na ziemię kilkudziesięcioletnich, częściowo przegniłych snopków, gęsto zasłonił całą Perzówkę. Na dachu pojawiła się papa, potem płyty azbestowe, aż w końcu ojciec zainwestował w blachę chroniącą dom do dzisiaj.

Na początku lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku postęp zagroził dalszej egzystencji chałupy. Miał ją zastąpić nowy, murowany, nowoczesny dom. Zbudowany według typowego projektu nazwanego „budynek mieszkalny typ – MB-0165/B”.

Roboty zaczęły się w 1972 roku. Pamiętam je doskonale, bo praktycznie przez całe wakacje szkoliłem się w fachu pomocnika na budowie. Najbardziej zapadły w pamięć i kręgosłup siedemnastolatka okropnie ciężkie kamienne głazy z Dobrakowa, z których wzniesiono ściany piwnic.

Póki co jednak stary dom ucierpiał niewiele: utracił komorę, niegdyśniejszy chlew. Reszta miała zniknąć z powierzchni Perzówki nieco póź-

niej. Ale nie zniknęła, bo rozpoczął się spór postępu młodych z konserwatyzmem dziadków. Ci drudzy nigdy nie przyjęli do wiadomości potrzeby przeprowadzki. Wydaje mi się, że nawet raz nie wspięli się po karkołomnych schodach na piętro kamienicy. Nie chcieli i już! Sojusznikiem starocia stał się już wtedy i mój ojciec, przyszedł sentymentalny „kustosz” chałupy i całej zagrody. Zamiast zburzyć, remontował. Zaczął od opisanej wymiany strzechy.

Lata osiemdziesiąte pokazały, że dom jest za ciasny. W dwóch izbach brakowało miejsca dla nowej rodziny Marka i Wiesi Scelinów oraz ich dzieci, Ani i Wojtka, przyjeżdżających z Kielc na soboty i niedziele (wiem, jak bardzo szkoda Wam było niekiedy stracić „Teleranek”). Uciążliwy był brak łazienki. Wtedy z ojcem postanowiliśmy przerobić część chlewu przylegającą do domu na pokój z łazienką. Zlecenie przebudowy przyjął sąsiad z kolonii, murarz Zdzisiek Bielecki – mój rówieśnik. Dom rozrósł się więc do trzech pomieszczeń mieszkalnych i łazienki.

Po śmierci moich rodziców Emilii i Gienka odpowiedzialność za trwanie jedleckiego domu spoczęła na mnie. W 2012 roku szczęśliwie wyszedłem z choroby nowotworowej. Postanowiłem pieniądze, które z tytułu jej leczenia wypłacił mi ubezpieczyciel, przeznaczyć na remont. Dom wymagał go pilnie. Z powodu przegniłej przyciesi niebezpiecznie się przechylał, butwiejące okna z trudem się otwierały, wewnątrz było zawilgocone.

Tamtej wiosny solidną robotę wykonał Marcin Szczęsny ze swoimi braćmi. Podlewarowali budynek, wylali betonowy fundament, zamontowali nowe okna, a elewację od frontu obili nowymi deskami. Zaraz potem powstało przybudowane do starego serca domu, czyli kaflowego pieca, serce nowe: zaprojektowany przeze mnie kominek. Bardzo pomógł przy nim Rysiek Ostachowski, mój cioteczny brat. Przywiózł z Niemiec wkład solidnej firmy Hark i wykonane w swoim zakładzie gotowe elementy z kamienia. Wyszło pięknie.

Znów upłynęło trochę czasu i na świecie pojawili się wnukowie: Natalka, Tomek i Paulinka. I znów zrobiło się za ciasno. Poprosiłem więc

Beatę Mazurek, panią architekt z Kielc, żeby zechciała obejrzeć włości i przedstawić pomysł na kolejną rozbudowę domu.

W jej pracowni powstał profesjonalny, oparty o sztukę budowlaną i odpowiednie przepisy projekt zatytułowany „Rozbudowa rancza”. To według tych planów dwa lata temu ekipa Szczęsnych dobudowała czwarty pokój, a dom znów rozrósł się na zachód o następne trzy metry. W ten sposób osiągnęliśmy obecny stan jego „wzrastania”: sto metrów kwadratowych w postaci czterech pokoi, sieni spełniającej rolę kuchni, długiego korytarza i łazienki. Nie brakuje więc miejsca dla czworga naszych wnucząt (bo na świat przysła jeszcze maleńka Joasia).

Niebawem pewnie wymienię podłogę w kuchni – jadalni. Trochę z żalem, bo lubię te siedemdziesięcioletnie dechy, leżące wprost na ziemi. Na nich jako dziecko ustawiałem drewniane klocki, wyjmowane z wiklinowego koszyka w asyście łaciatego kundelka Pikusia. Pikuś był bardzo zmyślnym psiną. Umiał służyć i podawać łapę. Dziadek nauczył go jeszcze innej sztuki, bardziej praktycznej. Jakiej?

Otóż nasza łąka przylegała do Uniejówki. Po drugiej stronie rzeki kobiety z Marcinkowic pasły swoje gęsi. Gęsi jak to gęsi przepływały na naszą stronę i niemiłosiernie niszczyły trawę. Nauczony przeze Jaśka Pikuś na hasło „gęsi” mknął w ich stronę jak strzała wypuszczona z łuku. Po kilku minutach (a do rzeki jest dobrze ponad kilometr) nad Uniejówką unosił się wrzask i tumany pierza. Po drodze, wiedziony psią gorliwością, spotęgowaną wyraźnie myśliwskim genem, potrafił wywrócić się na kręcie drogi, a czasem i fiknąć kozła w ziemniaczanej bruździe. Wracał już powoli, merdając króciutkim ogonkiem, z wyrazem satysfakcji na pysku, wynikającej z poczucia dobrze spełnionego obowiązku, uprawniającego do uczciwego upomnienia się o zawartość miski. Pikuś zginął tragicznie, zagryziony przez sąsiadowego owczarka podhalańskiego, i był pierwszą istotą w moim życiu, której śmierć przyszło mi opłakiwać.

Desek nie wyrzucę, nie spalę, ale wymyślę dla nich jakiś odpowiedni zasługom użytek. Drewno już przygotowuje Staszek. Ściał wielki modrzew rosnący po jego stronie i deski suszą się ułożone w stodole i przed nią.

Czy to już koniec dziejów wzrastania Naszego Domu? Nie wiem. Wszystko w rękach następców. Ale, ale... Przecież historia losów domu nr 101 w Jelczy-Perzówce srodze zaburzyła główny tok opowieści. Pora więc do niej wrócić.

ROZDZIAŁ VII

O moich dziadkach, a specjalnie o Jaśku

Wracam do marca 1918 roku, aby śledzić koleje życia następnego pokolenia Scelinów – moich dziadków. Robię to z niejaką obawą. Niedługo wspomnienia staną się osobiste. Będą dotyczyć ludzi, których znałem, kochałem, którzy mieli duży wpływ na to, jak się kształtowałem.

Którzy byli mi bardzo bliscy.

Po utracie w ciągu trzech miesięcy obojga rodziców na Jaśka spadła odpowiedzialność za przyszłość rodzeństwa: 15-letniej Teofilki, 12-letniego Wicka i 9-letniego Józka. Jasiak miał wtedy niespełna 22 lata.

Na ścianie Naszego Domu wisi najstarsza rodzinna fotografia. Są na niej ci troje i kolejna siostra Hanka, która wydała się już wtedy za męża za Macieja Filusa. Patrzy w obiektyw, przygarniając do kolan dwoje swoich dzieci – Andrzeja i Anielkę. Ojciec dzieci stoi obok. Nie ma na zdjęciu Maryny i Andrzeja. Ona też już wcześniej wyszła z domu do swojego męża, wcześniej owdowiałego Józka Koniecznego. Mieszkali Na Lesie. A Andrzej wyprowadził się do do swojej żony w Swojczanach.

Rodzina zebrała się przed obiektywem w dniu ślubu Jaśka z Józką Kałużną, z chałupy na rogu wsi, tam gdzie droga skręca w górę do Olszyn. Związek młodych pobłogosławił w tczyckim kościele już nam znany i niezbyt sympatyczny ksiądz Władysław Mazurek.

Zdjęcie dali później całkiem sprawnemu malarzowi kopiście – na jego podstawie stworzył udatny portret młodych. Patrzy z niego na nas Józka w koralach na szyi i ciemnowłosa Jasiak o ładnej twarzy, zdobionej zawadiackim wąsikiem. Pan młody ma 23 lata, a jego wybranka – 19. Trzy lata wcześniej straciła ojca. Janek Kałużny zmarł na tyfus w Wielką Wojnę w 1917 roku, w czasach, w których niewiele brakowało, by spłynęła na rodzinę fortuna przyniesiona przez znanego nam już dziada z worem wypełnionym złotymi monetami. Leży Jan w jednym z grobów

odwiedzanych przez nas we Wszystkich Świętych (z przekrzywionym krzyżem, przy zachodnim ogrodzeniu cmentarza). Jego żona Marianna, jedna z moich prababek, przeżyła go o 46 lat.



Ślub moich dziadków – Józefy z Kałużnych z Janem Sceliną, 1920 r.

Zachował się dowód osobisty wydany Mariannie Kałużnej w dniu 20 czerwca 1938 roku z upoważnienia wójta Tczycy. Wydany przez sekretarza gminy Stanisława Paradowskiego, nawiasem mówiąc ojca znanej publicystki Ireny. Z rysopisu wynika, że mama Józki była: *wzrostu średniego, twarz miała owalną a oczy niebieskie*. Pod zdjęciem pozostawiła niepodrabialny znak identyfikacyjny: *odcisk palca wskazującego prawej ręki*, bo – jak dalej czytamy – była niepiśmienna.

Z czułością wspominał swoją babcie mój ojciec. Jako dziecko biegał do szkoły wężozem koło Magierów, a dalej przez Wieś, obok jej domu. Specjalnie wychodził z chałupy nieco wcześniej, a przed babcią zwalniał i trochę marudził, żeby od niej usłyszeć:

— Zaczekaj Gieniuś trochę, ugotuje ci jojecko...

Dla chudego Gieniusia jojecko było rarytasem, bo prawie cały kurzy uropek z jego domu trafiał do Żyda w Żarnowcu. Grosz do grosza i było na spłatę.

Żarnowiec, miasteczko odległe od Jelczy o cztery kilometry, stanowiło w czasach Gieniusiowego dzieciństwa centrum handlu i usług dla okolicznych chłopów. Prawie połowę jego ludności stanowili starozakonni (w 1935 roku na ogólną liczbę 2.127 mieszkańców było ich prawie tysiąc). I to oni z jednej strony zapewniali rynek zbytu dla niewielkich nadwyżek wytwarzanych przez chłopskie gospodarstwa w pobliskich wsiach, a z drugiej – właśnie u nich wydawało się pieniądze w małych biedasklepkach i zakładach usługowych. Obie społeczności – chrześcijańska i żydowska – były sobie niezbędne i żyły w warunkach swoistej symbiozy, pozwalającej im jako tako egzystować. Wśród nielicznych wspomnień, jakie dotyczyły tego współżycia, a które do mnie dotarły, zapamiętałem dwa.

Pierwsze to emocje małego Gieniusia zawiezonego przez rodziców do żydowskiego krawca (a było ich wtedy w miasteczku, jak czytam w „Księdze adresowej Polski” z 1930 roku, czterech – Fajgenblatt, Klajder, Lejderman i Szałowicz), w celu uszycia mu pierwszego w życiu garniturka. Strach było wejść do malutkiego, ciemnego pokoiku w parterowym, drewnianym domku na Rynku. Dziecko nie miało się nasłuchiwać opowieści o tym, co to Żydzi dodają do ciasta, z którego wypiekają macę, więc...

— A czego ty wejść nie chcesz? – zdziwiła się mama Gieniusia.

— A bo to wiadomo, co tam Żyd zrobiją? – potarł nos chłopak.

— Głupiś, Gieniuś. Nic nie zrobiją. Miarę wezmą i wszystko – pogłaskała go po głowie. Więc poszedł Gieniuś, lecz mocno nieprzekonany.

A tu niespodzianka. Sara, a może Leja, żona krawca, pogłaskała chudego chłopczynę po głowie z czułością i poczęstowała nieziemsko smaczkowitą chałką. Strach rozplynął się natychmiast w buzi Gieniusia, jak słodczy chałki upieczonej na oliwie, z orzechami, rodzynkami i szafranem.

Drugie wspomnienie było Jaśkowe. Któregoś dnia do portek pachciarza, żarnowskiego handlarza domokrąźcy, który wszedł za ogrodzenie

naszego obejścia i nieopatrznie za bardzo się zbliżył do psiej budy, dobrał się domowy kundel. Zrobił się raban, Jasiek wybiegł z chałupy i usłyszał z ust znanego mu dobrze Icka pełne jadowitego sarkazmu:

— Aj, aj Jonie... Po co wom ten pies, tyle macie tego bogactwa, że sami byście obszczekali.

Zabolało.

— A po coś tu włąził, żółtku! – odgryzł się dziadek, ale już po chwili z chałupy dochodziły odgłosy twardego targowania się (teraz najbardziej słyhać było Józkę) o cenę pierza, bo obraza obrazą, a business trzeba przecież prowadzić as usual.

Historia koegzystencji dwu narodowości w naszej okolicy skończyła się w 1942 roku. Pierwszej wywózki dokonali Niemcy w lipcu, drugie i ostateczne wysiedlenie nastąpiło 11 listopada. Pojedynczy uciekinierzy tułali się jeszcze jakiś czas po lasach, nierzadko wspomagani przez miejscowych. Jeden z nich, żydowski lekarz, którego nazwisko uciekło mi niestety z pamięci, ukrywał się u naszego sąsiada z kolonii – Stacha Zegarka, z którym był zaprzyjaźniony. Później ślad po nim zaginął, tak jak po wszystkich żarnowskich Żydach...

Po ślubie Józka przyszła na Perzówkę i zastąpiła Teofilkę w matkowaniu chłopakom. Scelinówna szykowała się właśnie do wyjścia za mąż. Wkrótce, już jako żona Jana Kocimskiego, przeprowadziła się do Tczy, by gospodarzyć w obejściu po lewej stronie drogi do Wierzbia, pod górką. Jeszcze dwadzieścia lat temu można było zobaczyć ceglany chlew, który po nim pozostał.

Dzisiaj nie ma już śladu po Kocimskich. Po wyprowadzce Teofilki zostało ich w domu czworo: młode małżeństwo Józka i Jasiek oraz dwóch wyrostków, Jaśkowych braci. Wkrótce i to się zmieniło. W izbie przybył jeszcze jeden lokator, bo w marcu 1921 roku Józka urodziła chłopaka. Na chrzcie świętym pierwszy przedstawiciel kolejnego pokolenia Scelinów otrzymał imię Feliks. Dzieciak martwił matkę, bo krzywo trzymał głowę i nic nie mogli na to poradzić.

Młody Jasiek grał na klarnecie w jedleckiej orkiestrze, która miała długą historię, bo mieszkaniec wsi Sajdak założył ją już w 1893 roku. Razem z orkiestrą Jasiek chodził na pielgrzymki do Częstochowy. Przez całe życie odbył tych wypraw ponad trzydzieści. Z tej z 1921 roku przyniósł do domu obraz: litografię Matki Boskiej Nieustającej Pomocy. Powiesił wizerunek na ścianie w izbie. Rodzinnie klękali przed nim i zmawiając pacierze modlili się o zdrowie dla synka. Pomogło. Głowa przestała się krzywić, chłopak wyrósł prosty jak świeca i stał się wielce przystojnym mężczyzną.

Po latach odwdzińczył się orkiestrze, która miała pośredni udział w tym wydarzeniu, inicjując i przeprowadzając jej reaktywację po wojennym niebycie.

Dziewięćdziesiąt lat po tamtej maryjnej interwencji zachorowałem na raka. Chemo- i radioterapia w radykalnych dawkach, zaordynowane przez wspaniałych lekarzy ze Świętokrzyskiego Centrum Onkologii (będę im wdzięczny do swoich ostatnich dni!), doprowadziły mnie do stanu krańcowego wycieńczenia. Na domiar złego do braku sił fizycznych dołączyła ciężka depresja. I wtedy właśnie, kiedy spodziewałem się już tylko jednego, odezwał się telefon. Dzwoniła Ania Śleźnik, moja dawna szefowa w Wojewódzkim Zespole Pomocy Społecznej, kobieta prawdziwej wiary. Odebrała Wiesia.

— Niedawno wróciłam z pielgrzymki do Medjugorje – zaczęła Ania.
– Prosiłam pewnego kapłana o modlitwę za Marka...

Moja żona słuchała uważnie.

— Wiesiu, myślę, że to ważne, co powiedział – kontynuowała Ania.

— Mów.

— Oświadczył: „Niech się odda w opiekę Matce Bożej Nieustającej Pomocy. Niech się do niej modli, a będzie żył”. Moja Wiesia kupiła więc obrazek. Modliliśmy się. Żyję do dziś.

Trochę to potrwało, zanim uświadomiliśmy sobie, że to wizerunek tej samej Matki, który wisi na ścianie w Jelczy. Tuż obok niej tyka i od

ponad dziewięćdziesięciu lat niezmordowanie wybija godziny zegar z fabryki Beckera...

Powie ktoś: jak trwoga to do Boga. No właśnie tak, potwierdzą wtedy.

Cztery lata po Felku, w 1925 roku, przyszedł na świat drugi chłopak – mój ojciec Eugeniusz. Niedługo potem dom opuścił Wicek. W 1927 roku rozpoczął dwuletnią służbę wojskową, którą pełnił na Polesiu w miejscowości Łuniniec, gdzie stacjonował III batalion 84. Pułku Strzelców Poleskich. Po powrocie na wieś ożenił się z Marianną Boguszówną. Osiadł niedaleko, na kolonii Zastodole, zbudowanej na tyłach folwarcznych zabudowań. Wygląda na to, że dostała mu się część ojcowizny – ziemia zakupiona przez Wojciecha we włościańskiej spółce.

W 1930 roku urodziła się Scelinom dziewczynka, Helena. Jako ostatni z rodzeństwa opuścił dom Józek, miejscowy *enfant terrible*. Krewki rozrabiaka „wybij okno”, sprawiający bratu-opiekunowi niemało kłopotów.

Wyprowadził się do żony w pobliskich Swojczanach. Po wojnie wyjechał z rodziną na Ziemie Odzyskane i osiedlił się we wsi Kłopot, która wcześniej nazywała się po niemiecku Kloppitz. Wieś leży w obecnym województwie lubuskim. Nazywają ją Bocianowem albo Bocianią Wsią ze względu na dużą liczbę gniazdujących w niej ptaków. Można tu również zwiedzać jedyne w Polsce Muzeum Bociana Białego.

Najdalej od rodzinnej Jelczy zawędrował Janowy brat Andrzej. W latach 30. pracował w kopalniach węgla zagłębi belgijskich i francuskich, działał w tamtejszych, lewicujących związkach zawodowych. Zapisał się we wspomnieniach bliskich jako wyjątkowo dobry i ciepły człowiek.

Ciocia Helena pamięta kilka jego wizyt i podarki, jakie dzieciom wtedy przywoził z zagranicy. Opowiada też o pieniądzach, którymi wsparł Jaśka, kiedy ten kupował od Żyda pole (mówiło się potem o nim „żydowskie” albo „mośkowe”). Zapamiętała, że przyszły pocztą, w kopercie opatrzonej wielką czerwoną pieczęcią. Babcia Józka tak mówiła o swoim szwagrze:

— Bardzo dobry był Andrzej. Jak ktoś potrzebował, to zdejmował koszulę, żeby się nią podzielić.

Niestety, na jego przykładzie sprawdziło się powiedzenie, że dobrego jest krótko. Umarł wcześniej, mając tylko 65 lat. Leży na tczyckim cmentarzu, tuż obok grobu starszego brata Jaśka.

W 2009 roku w głowie mojego ojca zrodził się pomysł zorganizowania rodzinnego zjazdu w Jelczy. Oświadczył później jego uczestnikom, że to czas najwyższy, bo kolejne spotkanie odbędzie się już na jego pogrzebie. Niestety, jak zazwyczaj, tak i tym razem miał rację. Zmarł dwa lata później, a jeszcze wcześniej, bo zaledwie niecały rok po spotkaniu, odprowadzaliśmy na cmentarz w Tczycy moją mamę. Ale wtedy, we wrześniu 2009 roku, było uroczyste i radośnie. Świętowaliśmy jednocześnie 80. urodziny mojej mamy, 55. rocznicę małżeństwa rodziców i naszą z Wiesią – 25.

Uroczystą laudację, sławiącą rodzinne przymioty, wygłosiła ciocia Helena Scelinianka Ostachowska. Mową wiązaną opowiedziała losy pokolenia swoich rodziców, poczynając od 1918 roku. Oddaję jej głos:

*Dziś trzeba schylić czoła przed przodkami, tego domu mieszkańcami,
przywołać rodzinę Marianny i Wojciecha Scelinów,
co odeszli przed ponad 90-cioma latami.
To oni, fundatorzy domu, na stragarzu którego wypisano „Błogostaw
Boże”,
pozostawili, umierając młodo, siedmioro dzieci, wiedząc, że im Jaś po-
może.
Byli to: Teofila, Wincenty i Józef, pozostali pod brata opieką.
Starsze – Marianna, Anna i Andrzej same już sobie chleb pieką.
Andrzej był przedsiębiorczy,
on we Francji i Belgii pracował,
a ciężko mu było, na kolanach węgiel fedrował.
Cała ta liczna rodzina bardzo się kochała.
Obchodzono ostatki, wesela i chrzciny,
były dyskusje z Wincentym do rana bez mała.
Teofila idących z kościoła na kapustę zapraszała,*

*a Hanka, pięknie szyjąc serdaki, pół wsi ubierała.
 Łącznikiem w tej rodzinie była Józefa z Katużnych, żona Jana.
 Ona stale się krzątała, potrzebującym służyła radą,
 choć sama niewiele posiadała.
 Umiała cementować przyjaźń, o rodzinne związki dbała.
 Wychowywała chłopaków (Wicka i Józka),
 ich drobne występki skrzętnie przed mężem ukrywała.
 Dziś w mogiłach na tczyckim cmentarzu spoczywają.
 Jan, Józefa, Andrzej, Marianna, Wincenty i Anna tu swe groby mają.
 Tylko Teofila za mężem w Nowej Hucie,
 a Józef w Inowrocławiu na cmentarzu znaleźli schronienie.*

Lata trzydzieste.

Wreszcie w domu Scelinów pozostali już tylko rodzice z trójką dzieci. Żyło się może trochę lżej, bo bracia i siostry byli już prawie pospłacani, bank chyba też. Pamiętamy zachowane w domowym archiwum poświadczenie odbioru od brata spadkowych pieniędzy po ojcu, własnoręcznie podpisane przez Andrzeja Scelinę, z datą 20 marca 1931 roku, a opiewające na kwotę 3.200 zł.

Pomyślmy chwilę i policzmy.

Do spłacenia było sześcioro rodzeństwa. Ówczesne 3200 zł to obecnie około 32 tysiące (szacuje się, że jeden przedwojenny złoty odpowiada od 9,46 do 11,36 współczesnego). Pomnożmy więc te 3200 przez sześcioro spadkobierców, a otrzymamy – zapewne obarczony jakimś błędem, ale jednak oddający skalę obciążenia – szacunek. 200 tysięcy obecnych złotych. Do tego raty kredytu z Banku Włociańskiego! Te liczby budzą we mnie bezmierny szacunek dla pracowitości, zaradności i RZETELNOŚCI w rodzinnych stosunkach moich dziadków.

Mówiąc nawiasem: spędziłem z babcią Józką i dziadkiem Jaśkiem – obydwójkiem wówczas w podeszłym wieku – mnóstwo dzieciństwa i młodości. Takich ich poznałem i kochałem. Ciekawe jacy byli za czasów swojej młodości i w wieku dojrzałym, w okresie pomiędzy dwiema wojnami?

Przeczytajmy, co napisała na moją prośbę o swoim tacie ich córka, a moja ciocia Helena Ostachowska. Ostatnia żyjąca ze swego pokolenia, 91-letnia w 2021 roku. Ponownie oddaję jej głos:

Mam napisać kilka stron o moim Ojcu, jako najmłodsza i jedyna córka. Sprawa dla mnie trudna, bo z jednej strony istnieje związek emocjonalny, a z drugiej czas, o którym chciałabym powiedzieć, to ponad 70 lat życia rodzinnego. Przynosiło ono przeróżne sytuacje, o których trudno pamiętać, choć może były ważne.

Zacznę od późnych lat trzydziestych, bo wtedy z Ojcem – Tatusiem brałam już udział w uroczystościach gminnych czy kościelnych, bo był radnym i grał w orkiestrze. Pamiętam taki dzień, kiedy mówiłam w Tczycy wierszyk o Piłsudskim: „Biją dzwony biją, stary Zygmunt bije, już trzeci rok mija, jak Dziadek nie żyje”. Miałam wtedy osiem lat.

A teraz o Ojcu.

W wieku 22 lat został sierotą, mając w obowiązku opiekę nad trojgiem młodszego rodzeństwa. Zdawał sobie sprawę, że czeka go odpowiedzialność, której trudno będzie mu sprostać. Był człowiekiem utalentowanym. „Złota rączka” – mnóstwo rzeczy potrafił zrobić sam. Uczył nas – dzieci – solidnej pracy i obowiązkowości. Każdy miał swoje zadanie. Biada, jeśli kto je zaniedbał. Aż do przesady pilnował, żeby wykonać dobrze swoją pracę. Był bardzo oszczędny, ale nigdy chytry. Podziwiam dzisiaj, z perspektywy własnego długiego życia, jego dalekowzroczne myślenie.

Po spłaceniu własnego rodzeństwa i rodzeństwa żony, wyobraził sobie przyszłość własnych dzieci:

Najstarszy Felek miał zostać gospodarzem. Dlatego poparł jego małżeństwo z Anielką, córką Kałużnego – Serwusia, bo dostała w wyprawie (ale bez zapisu) pięć morgów dobrej ziemi. Gienek już w 1938 roku poszedł do gimnazjum w Olkuszu. Co miesiąc trzeba było płacić 25 zł za szkołę i 25 za internat (obecnie ok. 500 zł).

Ja miałam być aptekarką.

Uczyłam się w czasie okupacji na tajnych kompletach, na plebanii we Tczycy u księdza Bińczyckiego. Maturę zdałam już po wojnie w Miechowie, razem z mamą Marka (czyli moją – przypis autora) – Emilią.

Nauka na kompletach kosztowała Ojca bardzo dużo. Pół metra (50 kg) pszenicy za naukę na kompletach we Tczycy, pół metra za tajne komplety Gienka w Kępiu i wydatki związane z nauką Felka w Liceum Górniczo-Hutniczo-Mierniczym w Krakowie. Jakże ciężko musiało być finansowo rodzicom. Ale plan Tatusia zapewniał dobrą przyszłość dzieciom.

Wspominając wiele talentów Ojca muszę dodać, że był profesjonalnym pszczelarzem. Wiedział chyba wszystko o pasiece. Miodobranie to było wielkie święto. W stodole stała maszyna do wirowania plastrów, a obok bańki szybko napętniające się miodem. Było bowiem 30 pni, czyli rodzin pszcze-lich.

Jako muzykant był bardzo akuratywny. Znał nuty, grał na trudnym instrumencie – klawirze. Grywał na weselach, za co dostawał spore pieniądze, które lokował w gospodarstwie i w naukę dzieci.

Dzisiaj nazwalibyśmy go ekologiem. Dbał bardzo o rośliny, sadził drzewa i krzewy różnych gatunków na pożytek dla pszczół.

Tato był lubiany przez sąsiadów, bo umiał doradzić w trudnych sprawach, napisać podanie albo załatwić spory. Był konsekwentny. Od 30-tych lat należał do Polskiego Stronnictwa Ludowego, bo w jego działaniu widział troskę o ludzi biednych, analfabetów, chłopów zadziornych z otwartymi głowami.

Był sprawiedliwy nawet wtedy, gdy coś działo się z jego albo jego rodziny krzywdą.

Nie lubił pijaństwa, ale nie stronił od alkoholu. Po uroczystościach zawsze zostawał na napiwek czy poczęstunek ze świadomością, że w tym czasie zastąpi go w domu moja mamusia Józka.

Potrafił w trosce o zdrowie, po bardzo poważnej operacji, rzucić palenie papierosów, bo tak powiedział mu lekarz.

Nie mogę nie wspomnieć o dbałości o gospodarskie zwierzęta. Najczęściej w oborze stały trzy krowy i dwie jałówki. Dbał też nadzwyczajnie o konie. Doczekał czasu, że miał ich parę. Zawsze starannie obcinał ich kopyta, czyścił sierść zgrzebłem i specjalną szczotką. W czasie wojny stracił trzy kłaczki:

– pierwsza, kasztanka, poszła na front w polskim wojsku 3 września 1939 r,

– drugą, gniadą, zabrali Niemcy,

– trzecią ukradli Rusczy w 1945 r i sprzedali gdzieś za wódkę. Po interwencji Ojca u dowódcy (a znał dobrze rosyjski) zostawili mu w zamian jakiegoś ochwaczonego taborowego kałmuka. Tata nie mógł na niego nawet patrzeć, nie wprowadzał konia do stajni i szybko się go pozbył. Sam sprawował opiekę weterynaryjną, szczepił zwierzęta, odbierał porody.

Dziękuję ci, Ciociu!

Namalowałaś piękny obraz swojego Taty. Widzimy na nim mądrego i prawego człowieka, gospodarza pewną ręką zarządzającego losami najbliższych. Zdolnego i pracowitego. Kiedy jakiś czas temu zapytałem Cię, jak najkrócej, dosłownie jednym zdaniem scharakteryzowałabyś ojca, usłyszałem w odpowiedzi:

— Był twardy, ale sprawiedliwy.

Zastrzegłaś wtedy, że czas, który minął, emocje naturalne u córki, wyidealizowały może jego obraz. Jeśli nawet tak, co zrozumiałe, to kiedy zestawiam przekazane przez Ciebie wspomnienie z własnym, widzę w nim swojego dziadka takim, jakim i ja go znałem.

Józia przez całe życie podążała za swoim Jaśkiem. Ciepłem i łagodnością wypełniała przestrzenie dla niego trudno dostępne: kochała Felusia, Gienka i Helę bezwarunkową miłością. Służyła im wszystkim tak, jakby nie miała żadnych własnych potrzeb. Wiecznie zajęta, od wczesnego rana krzątała się po domu i chlewie. Według własnego powiedzenia, całymi dniami „chodziła jak woda”.

Najpierw paliła w piecu, przygotowywała śniadanie, karmiła świnię, doiła krowy. Nastawiała na blasze obiad i razem z Jaśkiem szli w pole. W południe jedli to, co się „samo ugotowało”, i na nowo brali się za robotę. Podwieczór – dojenie, kolacja... i tak dzień w dzień. Chwile wytchnienia następowały dopiero po wieczornym obrządku. Jasiek zasiadał wtedy do lektury „Gromady-Rolnika Polskiego”, raz na jakiś czas przywożonego przez listonoszkę w postaci rulonu owiniętego banderolą, a Józka na stołeczku przy piecu coś szyła albo łątała. Ciszę, która wtedy

ogarniała izbę, tylko od czasu do czasu przerywały gniewne komentarze, bo Jaśkowi nie wszystko, co czytał w gazecie, się podobało. Komentarze i... pochrapywanie jego żony.

— A cóż ty, Józka?! Znowu drzemiesz?! – oburzał się wtedy.

— A gdzież ta drzemie! Ino tak przymrużam oczy, a ty naskakujesz od razu!

— Spałaś, nie gadaj!

— Oczy ino przymknęłam i tyle! – upierała się.

— Aha – kwitował rozbawiony mąż i za chwilę znów uśmiechał się pod nosem, bo spod pieca dobiegało jeszcze głośniejsze chrapanie.

Raz w tygodniu wstawiała Józka jeszcze wcześniej. Piekła chleb. Musiała najpierw napalić w chlebowym piecu (to ta najniższa jego część), zagnieść ciasto, przypilnować, żeby się dobrze upiekło. Już na śniadanie wielki pachnący bochen ze spieczoną i spękaną od żaru skórką, posypaną ziarenkami maku, wędrował na stół. Zanim zaczęła chleb kroić, czyniła nad nim nożem znak krzyża.

Ta dobra i pracowita kobieta nie była jednak pozbawiona temperamentu. Pochodziła przecież z Kałużnych! Wyborną tanecznicę, mocno zbudowaną, silną fizycznie dobrze znali na weselach z dosadnych, często złośliwych przyśpiewek.

Funkcjonowała w domu pewna opowieść z czasów wspólnej młodości Józki i Jaśka. Dziadek, jak wiemy, ogrywał z orkiestrą wesela, z czego pieniądze uzupełniały wiecznie pustą kasę, zjadaną przez spłaty. Informacje o jego alkoholowej wstrzemięźliwości muszą chyba dotyczyć czasów raczej późniejszych. Zresztą, czy muzykant na weselu może w ogóle nie golnąć gorzałki? Musiała więc Józka od czasu do czasu pomagać mężowi w powrotach do domu.

Tego wieczora wspierała swojego chłopa w drodze z Marcinkowic. Wlokła go najpierw między chałupami, później przez łąkę, aż wreszcie dotarli do Uniejówki, rzeczki nie bardzo szerokiej, ale z wartkim nurtem i zawsze przeraźliwie zimnej, bo biorącej wody z niedalekiego źródła. Jedną ręką zarzuciła sobie Jaśka na plecy (był na szczęście raczej drobnej

budowy), drugą przycisnęła do piersi klarnet i przeniosła grajka na drugi brzeg. Myślę sobie teraz, ile to kobiet w naszej rodzinie przeprowadzało bezpiecznie swoich wspaniałych, zawsze najmądrzejszych mężów na drugie brzegi!

Kończąc wspólnie z ciocia Heleną wspomnianie mojego dziadka, muszę z uczciwości rozwinąć jeden, trochę oględnie potraktowany rys przytoczonej wyżej charakterystyki: *każdy miał swoje zadania, biada, jeśli kto je zaniedbał. Aż do przesady pilnował, żeby wykonać dobrze swoją pracę.*

Cóż się kryje za owym złowróżbnym „BIADA”? Kto jest bez grzechu, niech rzuci kamieniem! Jan też miał swoje wady. Nerwus i narwaniec. Potrafił przyłać chłopakom – najpierw braciom, potem synom – pasem, a nawet, jak opowiadała Helena, lagą! Za to, mówi ciocia z rozrzewaniem, jej nie uderzył nigdy.

A' propos: jak pamiętamy, najmłodsza ze Scelinianek, Teofilka, wydała się do Tczycy za Kocimskiego. Któregoś dnia przyleciała przez Chłopski Las na Perzówkę rozdygotana i zapłakana.

— Jasiek, on mnie bije! – wychlipała swojemu bratu – opiekunowi.

W niedzielę po mszy zaszedł więc Jaśko do szwagra. Złapał go za klapy świątecznej marynarki, zajrzał głęboko w oczy i wycodził przez zęby:

— Jak ją jeszcze tkniesz, to przyjdziemy z chłopakami i tak ci pysk objemy, że długo popamiętasz...

— Ale ja nawet palcem jej...

— Nie cygań, bo od razu ci przyleję!

— Jak Najświętszą Panienkę kocham...

— I bluźni jeszcze, psiajucha! Orzesz ty... – zamierzył się na szwagra, a tamten głowę w ramiona schował, oczekując ciosu. Ale go oszczędził Jaśko. Tylko na odchodnym palec wzrósł w górę ostrzegawczo i wycodził:

— No!

Chyba poskutkowało, bo do rękoczynów w wykonaniu Wicka i Józka raczej nie doszło. Inaczej wspomnienie o nim przetrwałaby w rodzinnej opowieści. Jest więc nadzieja, że małżeńskie stosunki wróciły do normy. Ale, jak widać, mój kochany dziadek różne miewał oblicza.

Wypada mi teraz wspomnieć drugich dziadków, rodziców mojej mamy. Jak wiemy, mieszkali w sąsiadującej z Jelczą Tczycy. To bardzo rozległa i równie stara wieś. Była niegdyś w części własnością szlachecką, a w części kościelną. Ślad tych stosunków własnościowych pozostał do dzisiaj w nazwach jej kolonii. Jest więc Tczyca Pańska i Tczyca Duchowna, jest urokliwie brzmiący Bógdołek. Jedyńakowie mieszkają na Ciołkowcu. Moja prababka kupiła, jak przypuszczam też przy pomocy kredytu z Banku Włościańskiego, kilkadziesiąt morgów ziemi właśnie tutaj. Odziedziczyło ją pięciu synów.

W dolince między pagórkami zbudowali swoje domy bracia: Stach, Józek, Wawrzyniec, Kazimierz i Andrzej. O Stachu napisałem już parę zdań przy okazji zakończonych, niestety, fiaskiem poszukiwań zakopanego garnka ze złotymi monetami, którego strzegł pies z wielkimi świecącymi ślepiami.

Fascynowała mnie zawsze myśl o zgodnym sąsiedztwie braci. Przetrwiała budująca pamięć wzajemnej pomocy przy robocie w polu, wspólnym użytkowaniu niektórych maszyn i sprzętu. Nie słychać było o sporach i niechęciach.

Najbardziej na wschód wysuniętą działkę kupionego pola zajął mój dziadek Józek, urodzony w 1900 roku. Za żonę miał Zofię z Kocimskich. Nie pozostało mi wiele wspomnień po rodzicach mamy. Bywałem we Tczycy raczej rzadko, w dodatku jako małe dziecko. Dziadek był już wtedy poważnie chory, zapamiętałem go wiecznie leżącego w łóżku. Umarł młodo, w 1963 roku. Przypominam sobie, że wiadomość o jego śmierci zastała mnie i mamę w mieszkaniu pani Czechowej, sąsiadki z bloku przy ulicy Karłowicza. Pociągiem dojechaliśmy na stację w Gajówce i malowniczymi ścieżkami poszliśmy do Tczycy. Był maj i... padał śnieg. Miałem wtedy niecałe osiem lat.

To, co wiem o dziadku Józku, pochodzi z późniejszych relacji. Mój ojciec bardzo teścia Jedynaka wysoko cenił i lubił. Za to, że wzorowo gospodarzył, a jeszcze więcej za to, że był porządnym człowiekiem. I tak musiało być w istocie, bo zasłużyć na pochwałę taty nie było łatwo. Prędeż dostrzegał w ludziach ich wady niż zalety.

Mama mówiła, że dziadek stracił zdrowie w czasie służby wojskowej, w okopach, bo służba ta wypadła na dni wojny polsko-bolszewickiej. Wspominała, że brał udział w walkach na Ukrainie. Bardzo żałuję, że na ten temat jestem w stanie napisać wszystkiego dwa króciutkie zdania, poparte jednym zachowanym zdjęciem, na którym widać szczupłego chłopaka w mundurze, stojącego przed ceglany murem jakichś koszar.

Okazało się jednak (a piszę te słowa zaledwie miesiąc po skreśleniu tego, co powyżej), że w jednym z albumów jest jeszcze jedno zdjęcie dziadka Józefa z czasów jego służby wojskowej. I cóż...

Fotografia burzy patriotyczną legendę o jego wojowaniu z Moskalami. Jest na niej młody Jedynak wśród żołnierzy Szkoły Podchorążych 70. pułku piechoty. Oraz data – 1923 rok. Bez problemu znajduję bardzo szczegółowe informacje o tej jednostce. Pułk wywodził się z 12. pułku strzelców wielkopolskich, który od marca 1919 do stycznia 1920 toczył walki z Niemcami o ustalenie naszej zachodniej granicy. 1 lutego 1920 roku został przemianowany na 70. pułk piechoty. Stacjonował wtedy w okolicach Lidy, niedaleko Wilna. Brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej, staczając potyczki w trakcie naszego odwrotu i także później, po klęsce Armii Czerwonej pod Warszawą.

Po tej wojnie jednostka przez cały okres II Rzeczypospolitej stacjonowała w Jarocinie i Pleszewie. Pod koniec 1921 roku trafili tam pierwsi rekruci z pokojowego naboru. Wśród nich musiał być też mój dziadek, który właśnie skończył 21 lat. Jak wyczytałem, służba w piechocie trwała wówczas 18 miesięcy. No to i 1923 rok ze zdjęcia się zgadza. A skąd legenda? Pewnie z zasłyszanych opowieści dziadka o historii pułku, która przecież zaledwie dwa lata po bojach z krasnoarmiejcami była na pewno bardzo żywa. Emilka – małe dziecko – zapamiętała je po swojemu.



Józef Jedynak w Szkole Podchorążych. 1923 r.

Coraz częściej podczas zderzenia się z barierą niewiedzy o czasie minionym myślę sobie: spieszmy się pytać, bo już niedługo nie będzie kogo. To tak samo jak z miłością do ludzi ze słynnej strofy księdza Twardowskiego. Uświadomienie sobie tej prawdy, coraz bardziej oczywistej w obliczu własnej nieuchronnie nadchodzącej starości, stało się jednym z powodów powstania tej opowieści. Kiedyś, kiedy moje dzieci albo wnuki będą ciekawe czegoś z rodzinnej przeszłości, a nie będą już miały kogo zapytać, niech przeczytają.

ROZDZIAŁ VIII

O tym, jak Jasiek i Józka stali dzieci do szkół

Tymczasem wróćmy do Jelczy.

Życie Scelinów na Perzówce stało się może odrobinę lżejsze. Rodzeństwo pospłacane, kredyt w banku też. Jasiek i Józka radzili o przyszłości dzieci. Rozumieli dobrze, że gospodarstwo może dać chleb tylko jednemu z nich. Zadecydowali, że trzeba je kształcić.

Wyobrażam sobie, jak któreś marcowej niedzieli, po mszy, siadają na ławce przed domem i rozmarzeni wiosennymi promieniami słońca rozgadują się o przyszłości dzieci:

— Felek mądry chłopak, może by w domu został... – Jasiek spogląda na Józkę pytająco.

— I zaradny... – kiwa głową Józka.

— Może by się ożenił gdzieś niedaleko, wziął dziewczynę z paroma morgami i poprowadził gospodarkę jak się patrzy.

— Dobrze by było...

— A Gienek, jakby poszedł do gimnazjum, to i urzędnikiem mógłby nawet zostać. Takim jak tczycki wójt albo rejent w Miechowie – znów zerka Jasiek na Józkę.

— Aż mi się wierzyć nie chce ... – coraz bardziej rozmarza się Józka.

— No i Hela. Taka zdolna. Nauczycielka radzi, żeby już w tym roku posłać ją do szkoły..

— Ale przecie ona ma dopiero sześć lat... – dziwi się Józka.

— No widzisz. I sama się nauczyła czytać i rachować – dowodzi Jasiek – trzeba ją kształcić, może na aptekarkę...

— Ale ile to pieniędzy potrzeba, Jaśku?

— Nic się nie martw, poradzimy.

— No, jak tak mówisz, to tak będzie – konkluduje żona.

To co nam, dziewięćdziesiąt lat później, wydaje się naturalne, a nawet oczywiste, na wsi pod Żarnowcem w drugiej połowie lat trzydziestych takim wcale nie było. Postanowienie zrodziło się w głowach matki-anal-

fabetki i ojca, który skończył wszystkiego cztery klasy ruskiej szkoły. Jest wiele powodów, dla których bardzo cenię i szanuję moich dziadków. Ale chyba najbardziej z powodu tej dalekowzrocznej decyzji.

Popatrzmy znów wstecz.

Jan, przybysz z Małoszyc, nie potrafił się podpisać, o czym zaświadczył kiedyś ksiądz Fabian Przybyłowski. Sztukę tę posiadał dopiero jego syn Wojtek. Musiał chodzić jakiś czas do gminnej szkoły, zwanej wtedy początkową. Pewnie nauczył się tam trochę czytać, trochę pisać i może nieco rosyjskiego, bo od 1871 roku ten język wprowadzono do nauczania. Jego syn a mój dziadek otrzymał czteroletnią edukację już tylko po rosyjsku. Język naszych wschodnich braci Słowian stał się obowiązującym wykładowym po roku 1885.

Jasiek nie zmarnował czasu spędzonego w jedleckiej szkółce. Nieźle mówił po rosyjsku (co – jak się okaże – przyda mu się w przyszłości). Potrafił pisać grażdanką, ale też dobrze sobie radził z formułowaniem na papierze myśli po polsku.

Ruska szkoła początkowa miała za zadanie wychowanie chłopskich dzieci na wiernych poddanych imperium. Znajomość języka była szczególnie ważna u chłopaków powoływanych do rosyjskiego wojska. Dziadek do końca życia płynnie recytował z pamięci pełną tytulaturę miłościwie panującego jego impieratorskiego wielichestwa Mikołaja II Romanowa.

Jak widać, tradycja kształcenia włościańskich dzieci była bardzo krótka, a umiejętności zdobywane w ludowej szkole niekoniecznie przydawały się w codziennym życiu na wsi. Nic więc dziwnego, że po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku II Rzeczpospolita wchodziła w nią z bagażem prawie 60 procent analfabetów w byłym zaborze rosyjskim.

Napisałem o Józce, że była analfabetką. Nie wiem, czy to do końca prawda. Pamiętam ją, wtedy już moją babcię, jak modliła się z otwartą książeczką do nabożeństwa w ręce, ale nie jestem pewien, czy to nie było tak, jak z małymi dziećmi, które nie dają się oszukać, kiedy zmordowana

mama opuszcza zdanie w czytanej im przed snem bajce. Domagają się pominiętego fragmentu, bo znają książeczkę na pamięć, choć oczywiście nie umieją jeszcze czytać.

Widzę też scenkę, w której dziadek prowadzi jej dłoń uzbrojoną w ołówek i próbuje z nią skreślić literki potrzebne do podpisania się. Rezultat jest za każdym razem ten sam. Dziadek się złości na widok efektu starań, a babcia wzdycha:

— A dajże ty mi spokój...

Może więc Józka była tylko półanalfabatką. Faktem jest jednak niezaprzeczalnym, że do szkoły nie chodziła nawet jednego dnia. Mój ojciec opowiadał zaś taką historię:

Jako nastolatek szedł kiedyś wózkiem na Wieś. Przed swoją chałupą zatrzymał go stary Magiera. Chłop był wyraźnie czymś poruszony i rozbawiony:

— Chodź no, Gieniuś, cosik ci powiem. Ty wiesz, co ten (tu padło nazwisko, którego niestety nie zapamiętałem) gada?!

— Co gada? – pyta ojciec.

— Opowiada, że to nie słońce chodzi po niebie, ino ziemia kręci się dookoła słońca! Patrz no, jaki un jest jest głupi. Przecie słońeczko wschodzi na wschodzie, idzie po niebie i zachodzi na zachodzie – ręka starego zakreśliła szeroki łuk, żeby pokazać tę drogę.

— Oj głupi, głupi... – odparł młody Gienuś.

Widać już wtedy miał naturę prześmiewcy, bo nie pokalał się objaśnianiem Magierze teorii kopernikańskiej, a przyłączył do starego i obaj zgodnie dziwili się głupocie sąsiada, co to nie dostrzega rzeczy oczywistych.

Jak widać choćby z tego obrazka, potrzeba dostępu do oświaty była wielka. Chociaż... Jeszcze dzisiaj, prawie sto lat później, w erze niebywałego postępu technologii informatycznych, społeczności płaskoziemców, czyli ludzi, którzy wierzą, iż Ziemia jest jak naleśnik, mają się całkiem dobrze.

Władze tworzącego się państwa uznały powszechną edukację za spełnienie wymogu cywilizacyjnego, ale też istotny element budowania tożsamości narodowej. I tak oto 7 lutego 1919 roku Marszałek Józef Piłsudski wydał dekret wprowadzający na terenie dawnego Królestwa Polskiego obowiązek szkolny dla wszystkich dzieci w wieku od 7 do 14 lat. Nauka w siedmioletniej szkole powszechnej była bezpłatna. W wyniku tej decyzji w Jelczy, w 1918 roku, w jednej izbie dzierżawionej od państwa Pietrawskich utworzono dwa szkolne oddziały. Od trzeciej klasy dzieci chodziły do szkoły w Tczycy.

Kolejno z dobrodziejstwa nauki korzystali: Felek od 1927, Gienek od 1932 i Hela od 1936 roku. Najmłodsza z rodzeństwa rozpoczęła szkolną edukację w wieku sześciu lat. Powszechniaka ukończyła już za okupacji niemieckiej.

W naszym domowym archiwum zachowały się świadectwa jej klasowej koleżanki a mojej mamy, Emilki, rok od Helenki starszej, która chodziła do szkoły w Tczycy. Na druku z orłem w koronie, na który naklejono znaczek o wartości 10 gr, zaświadczający, że rodzice zapłacili składkę na budowę szkół powszechnych, widnieją przedmioty nauczania i oceny. Nauczyciele wykładali wtedy: język polski, arytmetykę z geometrią, rysunki, zajęcia praktyczne, śpiew, ćwiczenia cielesne i religię.

Emilka była pilną uczennicą.

W odpowiednich rubrykach pojawiają się najczęściej oceny bardzo dobre. Wygląd druku zmienił się na koniec roku szkolnego 1940/41. Emilka i jej rówieśnicy nie żyją już w Rzeczpospolitej Polskiej, symbolizowanej przez ukoronowanego orła, a w Generalgouvernement Für Besetzen Polnischen Gebiete (Generalne Gubernatorstwo Dla Okupowanych Polskich Obszarów), samo zaś świadectwo zyskuje miłą uchu nazwę „schulzengnis”.

Dwaj młodzi Scelinowie skończyli szkołę powszechną jeszcze w wolnej Polsce. Felek, przyszły gospodarz, trafił po niej do Szkoły Przysposobienia Rolniczego w Trzyciążu, a Gienek, który według planu swojego ojca miał zostać urzędnikiem, do szkoły średniej – Gimnazjum Męskiego z internatem w Olkuszu. Skończył pierwszą klasę, ale nie zdążył już

zdać małej matury. Rozporządzeniem wielkorządcy Generalnego Gubernatorstwa, rezydenta Wawelu dr. Hansa Franka, średnie szkoły ogólnokształcące miały zostać zamknięte. Tę w Olkuszu zlikwidowano 23 stycznia 1940 roku. Przyszła siła robocza mogła się kształcić tylko na poziomie powszechnym i zawodowym. Trzeba było więc opuścić internat i wrócić do domu. Zaś dyrektora i część nauczycieli Niemcy wywieźli do obozu koncentracyjnego. Budynek stał się siedzibą Hitlerjugend.

Zanim jednak to się stało, 13-letni chłopak otrzymał od Niemca lekcję, którą zapamiętał do końca życia. We wrześniową niedzielę, jak co tydzień, szli całą klasą do kościoła na mszę. Nagle podszedł do niego przedstawiciel wyższej kultury zachodnioeuropejskiej. Żołdakowi nie spodobały się metalowe guziki gimnazjalnego mundurka mojego ojca, guziki z wizerunkiem orzełka.

— Polnische schweine! – wrzasnął nad nim i jednym szarpnięciem rozerwał mu marynarkę. Guziki posypały się na ulicę.

— Ale za co... – chłopak rozplakał się ze strachu, złości i żalu.

— Ty orzełka! Polska! – warknął łamaną polszczyzną szwab.

— Guziki tylko... – wyjąkał Gienek, a gdy tamten odszedł, schylił się w ich poszukiwaniu. Lecz szwab się odwrócił, więc już nie ryzykował, choć bardzo było mu żal eleganckiego mundurka, który tak drogo kosztował rodziców. Żal było i tych guzików z orzełkiem...

ROZDZIAŁ IX

O dalszej edukacji i o wojnie

Staram się opisywać dzieje naszej rodziny, poczynając od 1744 roku. W tym czasie przez Polskę, w tym ów mały skrawek mojej rodzinnej ziemi w dorzeczu dolnej Pilicy, przetoczyła się Insurekcja Kościuszkowska, wojny napoleońskie, wojna polsko-rosyjska lat 1830-31, powstanie styczniowe i I wojna światowa. Czas jednak przejść do rodzinnych wspomnień tej ostatniej, z numerem II.

Zapowiedziały ją na Perzówce 1 września 1939 roku samoloty z czarnym krzyżem, które rankiem obudziły dziadków. Leciały od strony Śląska na wschód. Nad Tunelem zrzuciły kilka bomb. Parę dni później na drogach pojawili się cywilni uciekinierzy z zachodu. Lato tamtego roku było bardzo upalne, w gospodarstwie obficie obrodziły pomidory. Dziadkowie całymi kosztami targali je pod Staszyn i rozdawali głodnym oraz spragnionym uchodźcom.

Jelcza leżała wówczas blisko granicy z III Rzeszą. Niecałe 80 kilometrów w linii prostej dzieliło ją choćby od Bytomia, który był już po niemieckiej stronie. Ale wróćmy do działań wojennych: obrona Śląska i Małopolski przez Armię Kraków, która operowała na niewiarygodnie rozciągniętym froncie, załamała się szybko, bo już w pierwszych dniach wojny. Piątego września wieczorem Niemcy doszli do linii kolejowej Miechów – Tunel i Wolbrom – Tunel. Tego samego dnia zajęli Wolbrom, Charsznicę, Pilicę i Żarnowiec. W Miechowie pojawili się dzień później.

12 października 1939 roku Hitler wydał dekret o utworzeniu tzw. Generalnego Gubernatorstwa z ziem polskich, których nie wcielono do Rzeszy. To właśnie „Generalgouvernement Fur Besetzen Polnischen Gebiete” z nagłówka wojennych świadectw szkolnych mojej mamy. W tym okupowanym tworze, obejmującym Warszawę, Kraków, Lublin, Kielce

(a po zajęciu przez Niemców części Polski okupowanej od 17 września przez Sowiec, również Lwów i całe południowo-wschodnie Kresy) przyszło żyć Scelinom z Jelczy przez następne sześć lat. Mimo wszystko młodzi nadal zdobywali wiedzę. Taką możliwość dawało im uczestnictwo w tajnych kompletach.

Jak wiadomo, nielegalne nauczanie w Generalnej Gubernii było odpowiedzią podziemnego Państwa Polskiego na zamknięcie przez okupanta średnich szkół ogólnokształcących i drastyczne ograniczenie programów w szkołach powszechnych oraz zawodowych. Niemcy zakazali wykładania w nich historii, geografii, literatury. Siła robocza miała zostać pozbawiona świadomości narodowej i przygotowana do bezwzględnej posłuszeństwa najeźdźcy. Podziemne władze szybko zareagowały na taki stan rzeczy: już w końcu października 1939 roku została powołana Tajna Organizacja Nauczycielska, która miała za cel stworzenie zakonspirowanego systemu nauczania. Początkowo objęto nim szkolnictwo powszechne, później powstały komplety na poziomie szkoły średniej.

Gierek podjął naukę w Kępiu, razem z dziećmi dziedzica Grodzickiego, a Hela trafiła na komplety na plebanii we Tczycy. Zajęcia z dziećmi prowadził tam Stanisław Laskowski, prywatnie mąż siostry proboszcza, księdza Augustyna Bińczyckiego. Młody nauczyciel, jak wspomina ciocia, był człowiekiem wszechstronnie uzdolnionym, z wyraźną żyłką pedagogiczną. W kompletach brało udział sześcioro dzieci. Poza Scelinówną na plebanie biegła również Emilka Jedynakówna, moja przyszła mama, a także Hela Kałużna, córka siostry babci Józki, Zofii, i troje innych. Dziewczęta lubiły te lekcje również dlatego, że niekiedy były częstowane przez siostrę albo gospodynię księdza smakołykami, o których w rodzinnych domach na Perzówce czy w Ciołkowcu nikomu się nie śniło.



Gienek (pierwszy z prawej) na tajnych kompletach w Kępiu

W 1943 roku Gienek dostał się do do zawodowej szkoły rolniczej w Czernichowie – jednej z tych, których funkcjonowanie dopuścili Niemcy. Szkoła miała długą i chlubną tradycję. Ufundowana przez krakowskie Towarzystwo Gospodarczo-Rolnicze, otworzyła uczniom podwoje w 1860 roku. Nawiasem mówiąc, placówka funkcjonuje nadal, będąc tym samym najstarszą szkołą rolniczą działającą po dziś dzień.

Jesienią 1944 roku Niemcy wywieźli wszystkich chłopców, którzy się uczyli w Czernichowie, na roboty przymusowe, a dokładniej do kopania umocnień na Wschodzie. Dzięki jakim zabiegom mój ojciec uniknął wywózki – nie wiem. Faktem jest, że wrócił wtedy do domu.

Komplety spełniły swoją rolę. Już 31 lipca 1945 roku dziewczęta otrzymały świadectwa ukończenia Gimnazjum Ogólnokształcącego im. Tadeusza Kościuszki w Miechowie. Mam świadectwo mojej mamy. W dokumencie napisano, że została przyjęta do czwartej klasy w dniu 1 lutego 1945 roku i w tym czasie: *ukończyła naukę w zakresie programu przypisanego do gimnazjum ogólnokształcącego, zorganizowanego na*

zasadach art. 20 ust. z dnia. 11 marca 1932 roku o ustroju szkolnictwa. Znaczy to tyle, że w ciągu pół roku, uwzględniając wiedzę zdobytą na plebanii w Tczy, Emilka i Hela zrealizowały czteroletni program nauczania gimnazjum.

Dokument podpisała Rada Pedagogiczna w pełnym, sześciuosobowym składzie i Dyrektor Przełożona. Otwierał on dziewczętom drogę do liceum, matury i dalej – na studia w Krakowie. Gienek, po kępskich kompletach u pana Szymachy i zdanej maturze, też mógł zaraz po wojnie zasiąść w ławach auli Uniwersytetu Jagiellońskiego i zgłębiać tajniki nowoczesnej uprawy ziemi na Wydziale Rolnictwa.

Felek w 1943 roku podjął naukę w Szkole Górniczo-Hutniczej na Wydziale Mierniczym w Krakowie. Był już wtedy żonaty ze swoją równolatką Anielką, córką Jana i Wiktorii Kałużnych, sąsiadów ze Wsi. Ślub odbył się w 1941 roku.

Z tym wydarzeniem łączy się ciekawa i też trochę zabawna historia z udziałem babci Józki, dowodząca, jak szalenie zależało jej na tym, by ładnie wyglądać na weselu syna.

Otóż na podobne uroczystości Niemcy przydzielali bony na zakup tekstyliów. Mama pana młodego wybrała się do Krakowa, żeby je zrealizować. Na piechotę. Wędrówkę w tamtą stronę podzieliła na dwa etapy, z noclegiem u przygodnych gospodarzy w Michałowicach. Gdzie się zatrzymała w mieście – nie wiadomo. Wiadomo natomiast, że raniutko dnia następnego wyruszyła w drogę powrotną i przeszła... 50 kilometrów jednym ciągiem! Na wieczór dotarła do domu. I na weselu na pewno ślicznie wyglądała. A w 1943 roku Felek był już ojcem. Syn młodych, Stanisław, przyszedł na świat 23 marca jako pierwszy z kolejnego pokolenia Scelinów.

O samej wojnie mówiło się u nas niewiele. Tylko kilka epizodów przekazał w swoich wspomnieniach mój ojciec. Na przykład ten:

Ziemia miechowska pod koniec wojny była terenem działania silnej partyzantki spod znaku Gwardii Ludowej i Armii Ludowej. W 1944

roku w naszej okolicy operował duży oddział pod dowództwem Jana Trzaski, noszącego pseudonim Gutek. Ze względu na położenie domu, poza wsią i blisko lasu oraz łąk, partyzanci pojawiali się niekiedy w gospodarstwie. Pewnego dnia, wiosną 1944 roku, rozłożył się u nas cały sztab oddziału. Rodzina musiała wynieść się do stodoły, bo dowództwo radziło w izbie całą noc. Wokół domu stały posterunki.

Czego dotyczyła narada – nie wiadomo, ale musieli widać rozstrzygać trudne zagadnienia, bo co rusz wysyłali Gienka na Wieś po nową flaszkę bimbru. Niestety, bimber przyczynił się do tragedii, która dotknęła oddział dosłownie kilka dni po nocnych naradach na Perzówce. W zasadzce w Wierzbiu na policję z Charsznicy partyzanci zabili trzech policjantów i dwóch żandarmów, po czym pomaszerowali w kierunku lasów w pobliżu Udorza i schronili się w gajówce. Za mocno jednak oblewali zwycięstwo i nie wystawili nawet ubezpieczenia. Niestety, do zagrody wpadli zniemacka niemieccy żandarmi. W strzelaninie, która się wywiązała, zginął gajowy i pięciu członków oddziału. Pozostali zdołali uciec. Niemcy wrzucili do środka gajówki trupy i podpalili. Wszystko wydarzyło się w nocy z 24 na 25 kwietnia.

Następnej nocy partyzanci wrócili, żeby pochować towarzyszy. Wśród ocalałych znalazł się sowiecki zrzutek, niejaki Siergiej. Udało mu się ukryć w jakichś zaroślach koło obejścia. Koledzy przetransportowali go z Udorza przez Chlinę na Perzówkę. Kazali dziadkowi przechować Siergieja w ukryciu i dobrze karmić.

Jasiek przygotował Ruskiemu wygodne lokum w sianie na strychu domu, za wielkim kominem. Za dnia Siergiej – wielkie, czarne chłopisko – nie wychylał nosa z kryjówki, ale po nocach gdzieś łąził; pewnie spotykał się z towarzyszami. Rany pewnie nie były zbyt groźne, bo ciocia Hela nie pamięta, żeby musieli je opatrywać. Może robił to sam.

Za to trzeba było go dobrze karmić. Codziennie zjadał cztery jajka, więc szybko brakło swoich i Hela chodziła kupować je u Wątorka. Na pytania, na co im tak dużo potrzeba, konspiracyjnie zmyślała, że mama pieką placki. Bo co miała powiedzieć?

Pewnego ranka na początku czerwca Ruski, ku niekłamanej uldze gospodarzy, zniknął tak nagle, jak się pojawił. Radość nastąpiła zrozumia-

ła, bo za ukrywanie sowieckiego partyzanta kara mogła być tylko jedna i nasz dom w przypadku wyspy podzieliłby pewnie los gajówki z Udo-rza. A Siergiej chyba przeżył, bo jego rodacy z potężną Krasną Armią już kilka miesięcy później dotarli nad Pilicę.

Jesienią, kiedy już było oczywiste, że lada dzień ruszy sowiecka ofen-sywa zza Wisły, Niemcy zagonili miejscową ludność w wieku od 14 do 60 lat do kopania okopów, które miały być częścią linii obronnej A2 Merkur Stellung, prowadzącej od Szczekocin na Miechów i dalej przez Słomniki do Bochni i Nowego Sącza. Do dzisiaj widać, jak gruntownie przekopany był las Staszyn. Od głównego wielkiego rowu przeciwczoł-gowego odchodziła pajęczyna mniejszych tranzei, we wschodniej części lasu wydrążono olbrzymie okrągłe wykopy, gdzie pewnie miały być osa-dzone działa przeciwpancerne. Z czasów mojego dzieciństwa pamiętam, że las był również usiany kłębami zardzewiałego drutu kolczastego, sple-tanego z pędami jeżyn.

Roboty nadzorowali Niemcy i Ukraińcy z formacji wojskowych, poli-cyjnych oraz Organisation Todt, choć chyba sami już nie wierzyli w ich sens. Ojciec, nawet ze współczuciem, wspominał jednego z nich, łagodnego i przyjaźnie nastawionego weterana, Austriaka. Co wieczór, po ko-lejnej szklance bimbrow, ów oznamiał ochoczo:

— Hitler kaput!

— No pewnie. Hitler kaput – zgadzał się z nim ojciec i unosił szkla-neczkę. – Trzeba to oblać!

— Oblać! – gorliwie kiwał głową tamten. Po następnej jednak rzędła mu mina.

— No co tobie, chłopie? – niepokoił się ojciec.

— Rodziny nie zobaczę. Jak nic nie zobaczę... – Austriakowi łzy się pokazywały w zaczerwienionych od bimbrow ślepiach.

— Zobaczysz, zobaczysz... – uspokajał go. – A jak nie zobaczysz, to na Hitlera zgonisz!

Ojciec mówił także o akcji partyzantów, którzy zastrzelili kilku ze sta-cjonujących w Jelczy Ukraińców. Wspominał, że wcześniej, z wieczora, wysłali go na Wieś, żeby sprawdził, czy są na kwaterze. Zwłoki zakopali za stodołami Zastodola.

Cała ta wielka, wykonana naszymi rękami robota na nic się zdała. Na szczęście Niemcy bowiem nie obsadzili umocnień w Staszynie. Na szczęście, bo gdyby tak się stało, to z domów na Perzówce nie pozostałby kamień na kamieniu, a dokładniej mówiąc – belka na belce. Wystarczy sobie uprzytomnić, że przedłużenie głównego rowu przeciwczołgowego biegło ze Staszyna w kierunku wsi przez Wątorkowe pole, sąsiadujące z naszym. Dodajmy jednak, że wśród kopiących rowy w lesie była Emilka Jedynakówna. Ciężką pracę w czasie jesiennych chłódów dziewczyna przypląciła poważnym zapaleniem pęcherza.

13 stycznia okolice Żarnowca zaroily się od uciekających Niemców. Kierowali się w stronę Pilicy i Szczekocin. Dzień później przyszedł Rosjanie. Rankiem od strony Kępia i Marcinkowic przetoczyło się zadziwiające widowisko, które młodzi oglądali z dachu na stodołę. Mój ojciec opisywał je jako szaro-burego węża, poruszającego się z dziwnym pomrukiem i chrzęstem na zachód przez przeszło godzinę. Dzień był mroźny, toteż nad wężem unosiły się kłęby pary. Stwór, w którym nie dało się odróżnić poszczególnych żołnierzy, popęzniętą dalej, w kierunku Chliny, Udorza i Żarnowca. Pozostała po nim tylko czarna blizna o szerokości kilkunastu metrów na połaci śniegu połyskującego w świetle słońca. Ten widok pozostał na zawsze w pamięci taty.

Już tego samego dnia zaczął się bój o Szczekociny. Niemcy z determinacją bronili miasteczka. Ostatnie punkty oporu padły dopiero 16 stycznia. Żołnierze jednego z wypartych oddziałów zostali wycofani do Pilicy i zakwaterowani w prywatnych domach. Opowiadali gospodarzowi jednego z nich, że ze 160 pozostało ich 16. Równie zaciekle broniło się kilku Niemców na wieży kościoła w Chlinie. Przy zdobywaniu świątyni poległo wielu Rosjan.

Kiedyś, podczas lekcji historii w moim liceum im. Stefana Żeromskiego w Kielcach, mówiliśmy o upadku Berlina. Rzecz jasna nauczycielka postawę obrońców stolicy III Rzeszy nazwała bezmyślnym fanatyzmem. Wtedy z ławki podniósł się mój kolega Rysiek Strzelecki i zapytał, czy to uczciwe, że kiedy nasi zaciekle bronią straconych pozycji, to nazywa się ich bohaterskimi obrońcami Ojczyzny, a kiedy Niemcy giną, żeby nie

oddać swojej stolicy, to zasługują na miano fanatyków? Nauczycielka przezornie nie podjęła dyskusji, a mnie Rysiek zaimponował niezależnością myślenia.

Dokładnie w tym samym czasie, 14 stycznia, tuż obok Jelczy rozegrała się jeszcze jedna potyczka. Brygada Świętokrzyska Narodowych Sił Zbrojnych w sile prawie tysiąca żołnierzy, uchodząca na zachód przed Rosjanami, starła się z siłami Wehrmachtu w Pogwizdowie, wsi graniczącej z Marcinkowicami. Tego samego dnia przed wieczorem Polacy zostali zaatakowani przez sowieckie czołgi. Aby nie dostać się do rosyjskiej niewoli, musieli przejść przez Żarnowiec, a następnie przekroczyć Pilicę. Po pertraktacjach z Niemcami dowództwo Brygady uzyskało od nich zezwolenie na przejście przez most. Przeprawa odbyła się już pod ogniem sowieckich czołgów. Tylko ostatnie wozy taborów nie zdążyły przejechać na drugi brzeg. 16 stycznia oddział przekroczył przedwojenną granicę Rzeczypospolitej, później przemaszerował przez Czechosłowację, by na końcu połączyć się w połowie maja z jednostkami armii amerykańskiej. Wielka odyseja zakończyła się uratowaniem życia około tysiąca partyzantów, których los w wypadku trafienia do sowieckiej niewoli byłby przesądzony.

Za frontowikami, czyli żołnierzami pierwszej linii, szli następni. Tabory, zaopatrzenie, sztaby. Jak mówi ciocia Helena, ludzie z nadzieją wyczekiwali Armii Czerwonej. Było bardzo przyjaźnie. Mama Staszka Sceliny przekazała mu wspomnienie o tym, jak to z szeregu maszerujących wystąpił żołnierz i pogłaskał po buzi półtorarocznego malca, którego trzymała na rękach. Widok dzieciaka musiał w jego sercu obudzić tęsknotę za własną rodziną pozostawioną gdzieś daleko.

Wojsko oczywiście pokazało miejscowym i inną twarz. Z całej wsi błyskawicznie zniknęły wszystkie kury, kaczki i gęsi. Wydarzały się zwyczajne rabunki. Z naszego chlewa na oczach dziadka Jaśka żołdat wyprowadził i zabrał piękną gniadą klacz. Jak wiemy, gospodarz, absolwent czterech carskich klas, dobrze mówił po rosyjsku. Odnalazł jakiegoś oficera i po-

skarżył mu się na złodzieja. „O sukinsyn”, usłyszał dziadek. Trzeba było nie pozwolić, „ubit jego było”. O technicznej stronie „ubiwania” uzbrojonego rabusia w mundurze dziadek nie został poinformowany. Faktem jest jednak, że po tej interwencji Jasiak uzyskał rekompensatę w postaci ochwaconej, kudłatej szkapy taborowej, której nie chciał nawet wprowadzić do stajni i – jak wspomina ciocia – natychmiast się pozbył.

Na chwilę zakwitł handel wymienny. Domowa bimbrownia, działająca od ostatnich lat okupacji w suszarni tytoniu, dostarczała litry pożądaney waluty. Pamiętam pozyskaną tym sposobem wojskową kulbaskę, latami poniewierającą się na strychu chlewa. W nasze ręce dostał się także wielki żelazny kocioł z emaliowanym wnętrzem, w którym wcześniej przygotowywano zupę w kuchni polowej. Sagan służył potem w gospodarstwie do pojenia krów i koni. Dzisiaj gromadzimy w nim deszczówkę. To ostatnia, jedyna już pamiątka wydarzeń ze stycznia 1945 roku.

W naszym domu zakwaterowali się wtedy jacyś oficerowie. Jeden z nich, pewnie enkawudzista, przeprowadził z dziadkiem znamienne rozmowę.

— A znajesz li ty, kto twoje prawitielstwo? – zapytał go na dobry początek. Pewnie, że dziadek wiedział. Był przecież świadomym obywatelem II Rzeczypospolitej, przedwojennym członkiem Polskiego Stronnictwa Ludowego, na bieżąco informowanym o polityce z nasłuchów audycji Radia bum bum bum – Tu mówi Londyn.

— Konieczno znaju, gospodin oficer – zaczął, bo skąd miał wiedzieć, że gospoda (panowie) to byli za cara, a tiepier oni wsie towarzyszczi. Źle dziadek zaczął, ale potem było jeszcze gorzej.

— Moje prawitielstwo eto Stanisław Mikołajczyk – kontynuował.

— O żesz ty durak, twoje prawitielstwo Wanda Wasiliewskaja! – oburzył się tamten.

— Wasiliewskaja? – dziadek wytrzeszczył oczy, bo jako żywo o żadnej Wasilewskiej ani o Związku Patriotów Polskich w życiu nie słytał.

— Job twoju mać! Swołocz! – zdenerwował się oficer enkawudzista, sięgnął do kabury i wyciągnął nagan.

— Spakojno, spakojno – rozcapierzył dłonie dziadek. – Wasilijewskaja, da!

ROZDZIAŁ X

O czasach nie tak znów odległych

W Polsce zainstalowała się nowa władza przywieziona ze Związku Radzieckiego. Szukając legitymizacji ogłosiła tzw. referendum ludowe, z trzema pytaniami dotyczącymi ustrojowej przyszłości kraju. „Tak” odpowiedziało zaledwie około 26 procent głosujących. Oficjalnie ogłoszono jednak, że poparcia komunistom udzieliło prawie 80 procent. Takie samo szalbierstwo odbyło się rok później z wynikami wyborów. Przystąpił do nich Blok Demokratyczny z Polską Partią Robotniczą na czele z jednej strony i jedyna partia opozycyjna Polskie Stronnictwo Ludowe z drugiej. Mimo terroru, morderstw, aresztowań i pozbawiania praw wyborczych oponentów władzy, PSL otrzymał w granicach 60 procent głosów. Organizatorzy, wspierani przez radzieckich towarzyszy z Ministerstwa Gosudarstwiennoj Biezopasnosti (Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego) reprezentowanego w tej sprawie przez pułkownika nomen omen Aarona Pałkina, dokonali olbrzymiego oszustwa. Ogłosili swoje zwycięstwo wynikiem 80,1 procent. Prezes PSL Mikołajczyk musiał uciekać za granicę. Dziadkowa legitymacja Stronnictwa z jego podpisem nakreślonym zielonym atramentem powędrowała do skrytki pomiędzy powałą a stragarzem, gdzie na pamiętkę kolejnych w naszej historii ciekawych czasów leży do dzisiaj.

Stosunek Jaśka do nowych porządków był jednoznaczny. O ich przedstawicielach mówił nieodmiennie: dyktatura, złodzieje i koziarze. Ostatni epitet odnosił się najbardziej do komunizujących mieszkańców pobliskiego Kępia. W jego ustach kłamca, złodziej i pepeerowiec były synonimami. Z wczesnego dzieciństwa pamiętam, że wieczorami słuchało się u nas Radia Wolna Europa. Zanim z głośnika dały się słyszeć wiadomości z Zachodu, przerywane szumem, hukiem, trzaskiem zagłuszarki, trzeba było wyjść przed dom i sprawdzić, czy nie stoi ktoś przed oknem, żeby podsłuchać, co się dzieje w środku, Wszyscy na wsi wiedzieli, kto

się trudni donoszeniem na sąsiadów do milicji. Nazwisk denuncjatorów nie warto teraz wspominać.

Młodzi korzystali z możliwości kształcenia się. Felek i Gienek poszli do Krakowa. Obaj zapisali się na Wydział Rolniczo-Leśny Uniwersytetu Jagiellońskiego. Helena i Emilia Jedynekówna uczyły się w Państwowym Liceum i Gimnazjum im. Tadeusza Kościuszki w Miechowie. Po maturze tak jak chłopaki też trafiły do Krakowa. Scelinówna próbowała spełnić swoje marzenia o farmacji. Po dobrze zdanym na Akademii Medycznej egzaminie z biologii i chemii przyszły pytania z wiedzy obywatelskiej. Indagowana przez członka komisji (wojskowy-sprzedawczyk, tak go określiła w rozmowie ze mną, wspominając tamte czasy), co było przyczyną zerwania stosunków polsko-sowieckich, odpaliła szczerze i zgodnie z oczywistą prawdą – Katyń. I to był już koniec nie tylko egzaminu, bo natychmiast wyleciała za drzwi, ale i snuty z ojcem marzeń o aptece. Ostatecznie Hela podjęła studia na Akademii Ekonomicznej, a Emilka w Studium Spółdzielczym Uniwersytetu Jagiellońskiego. Przez kolejne lata jedleckie morgi utrzymywały troje studentów w Krakowie. Co tydzień jedna z pociech przyjeżdżała na wieś po zaopatrzenie w chleb oraz masło dla siebie i rodzeństwa. Jak widać, „słoiki” nie są takim znowu bardzo nowym wynalazkiem.



Hela Scelinianka i Emilka Jedynekówna (po prawej) w czasie krakowskich studiów

Pewnego wakacyjnego dnia, kiedy mój tata był już po osiemdziesiątce, pojechaliśmy we troje do Krakowa. Wspólnie z Wiesią przyglądaliśmy się wzruszeniom starego człowieka, wywołanym wspomnieniami z minionych czasów. Poprowadził nas do imponującej siedziby ówczesnego Wydziału Rolniczo-Leśnego Uniwersytetu Jagiellońskiego przy ulicy Mickiewicza, później pod budynek Bratniaka, domu akademickiego, w którym mieszkał przez cały czas studiów, z tablicą upamiętniającą legendarnego, a dobrze mu znanego portiera. Gdyby te mury potrafiły mówić! Chociaż chyba lepiej, że nie umieją, a o młodości rodziców wiemy tylko tyle, ile sami zechcą nam powiedzieć. Sentymentalną wędrówkę zakończyliśmy odpoczynkiem na Błoniach.

Chyba właśnie wtedy ojciec opowiedział o wielkim pochodzie, który 3 maja 1946 roku uformował się po mszy w kościele Mariackim na Rynku i manifestował swoje poparcie dla Mikołajczyka. Był wśród zgromadzonej młodzieży akademickiej, a później z dachu jakiejś kamienicy obserwował atak funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa, w trakcie którego strzelali do ludzi.

Może to dobry moment, żeby powiedzieć o konsekwentnej niechęci ojca do „władzy ludowej” i jej rosyjskich protektorów. Pewnie wiele czynników złożyło się na taką postawę. Atmosfera w domu, patriotyczne wychowanie w szkole i osobiste doświadczenia. Jedno z nich głęboko zapadło w jego świadomość. Będąc we Wrocławiu, pewnie w 46 albo 47 roku, przyglądał się przyjazdowi z Rosji tzw. repatriantów, czyli naszych rodaków wygnanych z Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej, które po wojnie dostały się Sowiетom. Był głęboko wstrząśnięty widokiem ludzi umęczonych, brudnych i zawszawionych, stłoczonych w bydlęcych wagonach. Do końca życia taty nie usłyszałem z jego ust jednego dobrego słowa o Rosji. Ta konsekwentna niechęć mocno na nim ciążyła. Nigdy, mimo namów i stawianych warunków, nie zapisał się do PZPR, co przypłacił utratą dyrektorskiego stanowiska w Zjednoczeniu Państwowych Gospodarstw Rolnych na Śląsku i widoków na jakieś awanse.

W latach osiemdziesiątych byłem świadkiem próby ostatniego zamachu na jego polityczną niezależność. Ludzie dobrze ojcu życzący prawie go namówili do podpisania deklaracji wstąpienia do Stronnictwa

Demokratycznego, przybudówki PZPR, co było warunkiem uzyskania lepszej pracy. Wszystko było z grubsza dogadane, dwaj orędownicy sprawy pojawili się w naszym domu, żeby pogratulować tacie decyzji i oblać awans. Oblewanie przeciągnęło się do późna w nocy, aż rozmowy musiały zejść na tematy mocno polityczne, bo ojciec stopniowo podnosił głos, po czym pełni najlepszej woli koledzy pośpiesznie opuścili nasze mieszkanie. Pozostało po staremu. Ojciec nigdzie się nie zapisał.

Po uzyskaniu dyplomu Uniwersytetu Gienek otrzymał nakaz pracy w Zjednoczeniu Państwowych Gospodarstw Rolnych na Śląsku. Z moją mamą, tylekroć już wspomnianą Emilką Jedynakówną (nazywał ją Mila), pobrali się w 1954 roku w... Stalinogrodzie. Pewnie nie wiecie, gdzie to jest. Nie szukajcie miasta o tej nazwie na mapie Polski. Na szczęście go nie znajdziecie, bo Stalinogród to Katowice. Zmiany nazwy dokonali komuniści 7 marca 1953 roku, w trzy dni po śmierci Józefa Wissarionowicza:

„Dla uczczenia pamięci Wielkiego Wodza i Nauczyciela mas pracujących i Jego wiekopomnych zasług dla Polski, Rada Państwa i Rada Ministrów Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej uchwalają, co następuje: miasto Katowice przemianować na miasto Stalinogród, a województwo katowickie na województwo stalinogrodzkie”.

Chwała Bogu i Gomułce, że śląskie miasto nie musiało długo znosić niezasłużonego zaszczytu posiadania nazwy upamiętnionej na ślubnym zdjęciu moich rodziców. W grudniu 1956 roku Katowice powróciły na mapę Polski.

Fotografia zrobiona przed stalinogrodzkim urzędem Stanu Cywilnego uwieczniła zaledwie pięć osób. Poza państwem młodymi widzimy na nim świadków, którymi byli: Stach Kałużny, cioteczny brat ojca, już wtedy, co widać, zapracowujący na przydomek „Gruby”; Honorka Jedynakówna, śliczna siostra stryjeczna mamy i stojąca nieco z tyłu za nimi żona Stacha. Zastanawia, dlaczego na ślubie nie było ani rodziców oblubieńców, ani ich rodzeństwa, żadnych znajomych czy przyjaciół. Ciocia Hela nie potrafi, a może i nie chce wytłumaczyć tych okoliczności. Dość tajemniczo mówi mi, że nigdzie nie znajdę pamiątek ze ślubu kościelnego, który się przecież odbył, i wesela. Żadnych zaproszeń, żadnych

zdjęć. Kiedy jej słucham, pojmuję, że ma rację. W dwóch albumach, do których mama pieczołowicie wklejała fotografie, nie ma śladu tych tak ważnych w jej życiu wydarzeń. Czy stoi za tym jakiś sekret? A może to ja spowodowałem zamieszanie, myślę przez chwilę. Ale nie, pod zdjęciem mama zapisała w albumie datę. 10 kwietnia 1954. Przyszedłem na świat w czerwcu następnego roku, a więc w terminie jak najbardziej przyzwoitym. Pozostaje powtórzyć: nie warto dociekać osobistych tajemnic z młodości swoich rodziców, tym bardziej, że przecież żadną miarą się ich nie rozwikła.



Emilia Jedynakówna i Gienek Scelina, moi przyszli rodzice, w czasie narzeczeństwa



Ślub moich rodziców w Urzędzie Stanu Cywilnego w Stalinogrodzie

ROZDZIAŁ XI

O tym, że wszystko, co ma początek, musi mieć i koniec

Czas powoli zamykać tę rodzinną opowieść.

I tak rozrosła się już znacznie ponad pierwotny zamiar. Miała być tylko komentarzem do kupki dokumentów leżących w szufladzie kredensu w Jelczy i parafialnych aktów stanu cywilnego, które czytałem w diecezjalnym archiwum. Tymczasem stopniowo poszerzały ją moje własne wspomnienia z dzieciństwa, pojawiające się czasem zupełnie nieoczekiwanie w trakcie pisania, przynoszące z przeszłości obrazy zdarzeń, postaci bliskich osób, fragmenty rozmów...

Nieocenionym źródłem informacji o ludziach dawno już zmarłych były rozmowy z cicią Heleną Ostachowską, ponad dziewięćdziesięcioletnią już teraz nestorką rodu, ale obdarzoną godną podziwu jasnością myśli i wspaniałą pamięcią. Winien jej jestem ogromną wdzięczność za długie rozmowy, prowadzone niestety głównie przez telefon (gdy to piszę, na całym świecie już od ponad roku szaleje pandemia koronawirusa, w praktyce uniemożliwiająca bezpośrednie kontakty). Wiele ciekawych dokumentów udostępnił mi Staszek Scelina, pomógł też Rysiek Ostachowski.

Doszedłem właśnie do 14 czerwca 1955 roku, dnia narodzin dziecka z pierwszego rozdziału opowiadki, przysłuchującego się ze swojego bezpiecznego azylu za oparciem łóżka rozmowom i bajaniom jedleckich sąsiadów. Wszystko, co następuje później, to już moja współczesność, a o niej nie chcę pisać. Może się tym zajmę następnej jesieni (jak doczekam – powtórzę za babcią Józką, która nie chcąc kusić losu i świadoma nikłego wpływu człowieka na jego własną przyszłość, wszystkie swoje dalsze plany opatrywała takim zastrzeżeniem), ale nie teraz. Dlatego też powojenne dzieje dzieci Jana i Józefy Scelinów potraktuję naprawdę pokrótce.

Po kolei.

Najstarszy ich syn, Felek, po ukończeniu w 1950 roku studiów osiadł na Śląsku, w Katowicach. Tam podjął pracę w Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej, później był kolejno zastępcą dyrektora Zakładów Jajczarsko-Drobiarskich w Chorzowie, dyrektorem Klucza Państwowych Gospodarstw Rolnych Chruszczów w Bytomiu, zastępcą przewodniczącego Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Gliwicach, zastępcą dyrektora Wojewódzkiej Spółdzielni Ogrodniczej w Gliwicach. W 1972 roku ukończył podyplomowe studia na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Śląskiego. Był członkiem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, brał udział w zajęciach Wieczorowego Uniwersytetu Marksizmu Leninizmu.

Myślę, że szczerze zaangażował się w tworzenie powojennej rzeczywistości PRL-u. Przekonują mnie o tym jego żarliwe dyskusje, a czasami – nie ma co ukrywać – i kłótnie z moim ojcem. Nigdy nie skończone dowodziły, że w tych kwestiach bracia różnili się zasadniczo. Miewał Felek, mój stryj, wielkie plany, snute w myśl mickiewiczowskiej „Pieśni Filaretów”: *Mierz siłę na zamiary, nie zamiar podług sił*. Część z nich, dotyczących życia społecznego w Jelczy, doprowadził do skutku. Jego wielką zasługą było odtworzenie tutaj tradycji orkiestry włościąńskiej, ponowne powołanie jej do życia i stworzenie, między innymi przez zakup instrumentów muzycznych, warunków do jej funkcjonowania.

Niestety, nie powiódł się inny, w tym przypadku zakrojony na olbrzymią skalę, plan powołania do życia Skansenu Wsi Jelcza. Przygotowania zajęły Felkowi lata. Opracowywał monografię wsi, zinwentaryzował istniejące jeszcze wtedy zagrody z przełomu XIX i XX wieku, negocjował z ich właścicielami. Społecznym i organizacyjnym zapleczem przedsięwzięcia miało być Towarzystwo Miłośników Skansenu Wsi Jelcza.

Leżą przede mną wypożyczone z domowego archiwum jego syna, Staszka, dokumenty założycielskie organizacji, które stryj pieczołowicie przygotował. Skansen miał być *in situ*, a chaty – pozostać na swoim miejscu, udostępnione do zwiedzania. Znalazłem pismo znanej mi osobie i niezwykle sympatycznej Anny Piaseckiej, ówczesnej wojewódz-

kiej konserwator zabytków w Kielcach, która ideę ze wszech miar akceptowała i popierała. I tyle.

Niestety, skansenu nie ma, a prawie wszystkie stare zabudowania zniknęły już z powierzchni ziemi. Tym razem okazało się też, że niekiedy skromne działania wygrywają z ambitnymi zamierzeniami. Bo mój ojciec, równie jak Felek zakochany w jedleckiej tradycji, przez lata gromadził wiejskie starocie. W stodole trzymał narzędzia do uprawy roli, młockarnię, wialnię, wozy, sanie, a w chlewie rzeczy drobniejsze. Są tu: żarna, łopaty, którymi wsadzało się chleb do pieca, dzieże i niecki, maselnice, narzędzia do obróbki lnu, kołowrotek, maszyna do szycia „Singer”, lampy naftowe, żelazka na węgiel i z duszą, skrzynia, w której babka Marianna przywiozła z Marcinkowic swoją wyprawę. Tak oto, choć w nader skromnym wydaniu, spełniły się marzenia o skansenie. Kiedy piszę te słowa, zastanawiam się, jak te skarby lepiej przechować i eksponować.

W 1955 roku Felek, który wcześniej wynajmował w Katowicach prywatną kwaterę, ściągnął swoją rodzinę – żonę i dwóch synów – do swojego nowego mieszkania na Osiedlu Robotniczym im. J. Marchlewskiego. Po przejściu na emeryturę coraz częściej przebywał w Jelczy, urządzał nowy dom, zajmował się pasieką. Zmarł 10 czerwca 2001 roku i jest pochowany na cmentarzu we Tczycy, w jego południowo-wschodniej części, razem z żoną Anielą, zmarłą w 1984 roku, i synem Andrzejem (chrzestnym ojcem mojego syna Wojtka), którego w sile wieku zabił zawał serca.

O drugim z kolei synu Jana i Józefy, a moim ojcu Eugeniuszu, wiele pisałem wcześniej. Ja na świat przyszedłem w Rybniku. Do końca mojego drugiego roku życia mieszkaliśmy w służbowym familoku z czerwonej cegły w Czerwionce Leszczynach. Później na ponad trzy lata osiedliśmy w rodzinnym domu na Perzówce. Kolejna przeprowadzka – do Kielc i tym razem już na stałe – nastąpiła w grudniu 1961 roku, żebym mógł pójść do szkoły już w mieście. Tutaj, w bloku Kieleckiej Spółdzielni Mieszkaniowej przy ulicy Karłowicza 1, mieszkałem do 1988 roku,

a moi rodzice aż do śmierci. Oboje zmarli na raka – Mama w 2010, a Tato w 2011 roku. Również leżą na tczyckim cmentarzu. Z Wiesią Woś (na którą w rodzinie i tak wszyscy mówią Jagoda) pobraliśmy się we wrześniu 1984 roku. Od rodziców wyprowadziliśmy się na osiedle Stok. Najpierw do dwu-, później czteropokojowego mieszkania. W 2003 roku zbudowaliśmy dom na kieleckim Nowym Folwarku. W nim, przy ul. Leszczyńskiej 166, mieszkamy do dzisiaj.

Helena wyszła za mąż za Wojciecha Ostachowskiego, kolejnego w tej historii absolwenta Wydziału Rolniczo-Leśnego Uniwersytetu Jagiellońskiego, pochodzącego ze Sułoszowy koło Ojcowa. Jego ojciec Józef był osobistością naprawdę nietuzinkową.

Urodzony w 1883 roku, jako kilkunastolatek pracował w kopalni w Zagłębiu Dąbrowskim, odbył służbę wojskową w carskiej armii aż w Kursku, po powrocie organizował we wsi ruch ludowy. W wolnej Polsce, w wyborach 26 stycznia 1919 roku, otrzymał mandat posła. Kandydował na funkcję marszałka Sejmu, ale choć przegrał współzawodnictwo z Wincentym Witosem, to powołano go na jednego z wicemarszałków. W czasie II wojny światowej uczestniczył w organizowaniu ruchu oporu na terenie powiatu olkuskiego. Jego brat został w 1940 roku aresztowany przez gestapo i rozstrzelany za udział w partyzantce.

Wojciech był członkiem Batalionów Chłopskich, po wojnie został uwięziony przez Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Krakowie na Montelupich i oskarżony o przynależność do Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość oraz posiadanie broni. Dzięki zabiegom ojca skorzystał z amnestii i wyszedł na wolność. W 1951 roku młode małżeństwo osiadło w Kielcach. Do naszego miasta skierował Wojtka nakaz pracy. Przez kilka miesięcy gnieździli się we wspólnym pokoiku biurowym przy ulicy Mickiewicza, później otrzymali służbowe mieszkanie w kamienicy przy ulicy Chęcińskiej. Tutaj przyszedł na świat ich pierworodny syn Ryszard.



Józef Ostachowski, małżeństwo Helena (ze Scalinów) i Wojciech Ostachowscy
oraz ich syn Ryszard

W 1960 roku rodzina przeprowadziła się do nowo wybudowanego, własnego domu we wschodniej części miasta, przy ulicy Ludwiki Wawrzyńskiej, nazwanej tak na cześć bohaterskiej nauczycielki, która straciła życie, wynosząc z pożaru czworo dzieci. Tutaj Ostachowskim urodziła się córka Elżbieta. Helena przez większość kariery zawodowej była związana z administracją publiczną. Początkowo pracowała w Wojewódzkiej Komisji Planowania Gospodarczego, później awansowała na jej szefową.

Doradzała kolejnym wojewodom, którzy cenili ją za profesjonalizm, szerokie horyzonty myślowe i pracowitość. Jak już wspominałem, jako ostatnia żyjąca z rodzeństwa, niezwykle pomogła mi przy pracy nad tą opowieścią. Po raz kolejny jej za to dziękuję.

Wróćmy ostatni już raz do Jelczy.

Skończyła się wojna, wykształcone z takim trudem dzieci wyjechały do miast i na Perzówce zostali już tylko dziadek Jasek oraz babcia Józka. Obrabiali we dwoje mniejsze już gospodarstwo, bo kilka mórg sprzedali, przeznaczając pieniądze głównie na opłacenie kosztów nauki całej trójki. Pozostało im jeszcze pięć i pół hektara: pole koło domu, Górki oraz trzy łąki, w tym łąka Pod Stawem i Gwiazdówka. Uprawiali ziemię, hodowali krowy, świnie, drób. Dziadek wyjeżdżał co poniedziałek na handel do Żarnowca, gdzie sprzedawał mieszczankom – gulonkom jabłka, czereśnie i porzeczki. W pewnym okresie plantacja tych ostatnich była całkiem spora.

W czasie zbiorów owoców w gospodarstwie było gwaro i wesoło, bo dziadek zatrudniał do tej pracy miejscową dzieciarnię. Pod koniec lat pięćdziesiątych mój ojciec i on założyli fermę lisów futerkowych. To był czas, kiedy mieszkaliśmy z mamą w Jelczy. Znaczna część prac związanych z obrządzaniem zwierząt spadła właśnie na nią. Niestety, kontakt z lisami doprowadził do cichej tragedii, o której dowiedziałem się dopiero po latach: zakaźne odzwierzęce poronienie pozbawiło mamę drugiego dziecka, a mnie młodszej siostry. Mówiąc nawiasem, biznes nie trwał długo, bo państwo zadbało, by przestał być opłacalny, obciążając go dodatkowymi podatkami, tak zwanymi domiarami.

W 1976 roku rodzina zdecydowała o podziale gospodarstwa. Stryj Felek otrzymał połowę pola przy domu na Perzówce i łąkę pod Staszynem o łącznej powierzchni 1,8075 hektara. Mój ojciec drugą połowę pola i łąkę pod stawem – 1,9095 hektara. Ciocia Helena tak zwane Górki i łąkę nad Uniejówką (1,8350 hektara). Felek i Hela dostali po połowie nowego domu, a Gienek naszą zabytkową chałupę. Gospodarowanie dziadków, wspierane sezonową pomocą taty, trwało jeszcze wiele lat.

Oboje długo byli zdrowi i sprawni fizycznie. Problemy zaczęły się dopiero na początku lat osiemdziesiątych. Na skutek raka babci amputowano dłoń, dziadek stracił wzrok i nic nie pomogła operacja zaćmy. Mimo to nadal sobie jakoś radzili.

Śmierć przyszła po Jaśka 19 sierpnia 1984 roku. Było późne popołudnie, dziadek leżał już w łóżku. Ku zdziwieniu Józki wysłał ją, jak nigdy o tej porze, do sąsiada Wątorka, żeby do niego zaszedł, bo chciałby trochę pogadać. Janka akurat nie było w domu, przyprowadziła więc jego żonę Natalię (Talkę). Kiedy już były w domu, babcia została w kuchni, a Talka zajrzała do pokoju, gdzie leżał dziadek. Po czym babcia usłyszała:

— Ciotko, przecie uni nie żyją...

Mój ojciec uznał, że to nieoczekiwane zaproszenie dla sąsiada było ostatnim dobrym uczynkiem Jaśka na tej ziemi. Najwyraźniej czuł, że umiera, i nie chciał, aby w takiej chwili Józka była sama.

Wierzę, że tata miał rację.

Trumnę z ciałem dziadka niesiśmy na cmentarz we czterech. Czterech wnuków. Dwóch Felkowych synów, czyli Stach i Andrzej, syn Heli Rysiek oraz ja – Gienków Marek. Jeśli to prawda, że umarli patrzą na nas z góry, to Jasiak musiał być dumny i zadowolony. Po trudach długiego 88-letniego życia spoczął na tczyckim cmentarzu przy swoich rodzicach: Mariannie i Wojciechu.

Śmierć i nadzieja na nowe życie splotły się – jak zawsze – i tym razem. Dwa tygodnie po tym, jak dziadek Jasiak na wieczność zamknął oczy, ślubowaliśmy sobie z Wiesią w zabytkowym kościółku w jej rodzinnym Kleczanowie koło Sandomierza, a wiejskie weselisko przez dwa dni dudniło muzyką miejscowej kapeli i głosami licznie sproszonych gości. Jestem pewny, że kochany Jasiak błogostawił nam z góry na nowe wspólne życie.

Babcia przeżyła męża o długie dwanaście lat. Jeszcze przez jakiś czas mieszkała sama, obrządzając wyproszoną u dzieci i uratowaną od sprzedaży krowę, aż dotknęło ją kolejne nieszczęście. Potknęła się o próg po-

między sienią a izbą, przewróciła i złamała szyjkę kości biodrowej. Całą noc leżała na betonowej posadce. Rano znalazł ją Felek. Babcie Hela wzięła do swojego domu w Kielcach przy ulicy Ludwiki Wawrzyńskiej. Mój ukochany koń Kary i krowa zostały sprzedane. I to był już ostateczny koniec trwającej przez trzy pokolenia, od dnia uwłaszczenia w 1864 roku, historii Scelinów – włościan na jedleckich morgach.

Sto dwadzieścia lat, na które złożyło się życie Jana i Magdaleny, Wojciecha i Marianny, Jana i Józefy, było czasem kształtowania się na wsi społeczności prawdziwych gospodarzy. Ludzi codziennej, wielkiej i trudnej dziś do wyobrażenia pracy. Niezwykle przywiązanych do swojej ziemi, którą – jak pamiętamy – kolejne pokolenia gromadziły kosztem wielkich wyrzeczeń. O ojcowskim dziedzictwie babcia mówiła nie „ojcowizna”, a „ojczyzna”. W czasie, kiedy tak wiele słyszy się o znaczeniu tak zwanych małych ojczyzn w życiu społeczeństw i pojedynczych ludzi, warto zastanowić się i nad takim, może najbardziej pierwotnym znaczeniem tego słowa.

Nie byli wykształceni.

Nie przeszkadzało to jednak w tym, żeby dziadek Staszka, Jan Kałużny – Serwuś, dostarczał małemu wnuczkowi wrzuszeń, czytając na głos *Krzyżaków*, Józef Ostachowski dostąpił zaszczytu przewodniczenia obradom Sejmu Ustawodawczego Rzeczypospolitej, a moi dziadkowie zdobyli się na wielki wysiłek kształcenia dzieci. Brali też udział w życiu swoich lokalnych społeczności, tak jak Jasiek, który był członkiem przedwojennego Polskiego Stronnictwa Ludowego, grał w orkiestrze wiejskiej na klawnie (potrafił czytać nuty!) i jako człowiek obdarzony zaufaniem kolegów pełnił w niej funkcję skarbnika, bo orkiestra stanowiła też swą kasę zapomogowo-pożyczkową. Jego ręczne zapiski dokumentujące przychody i wydatki orkiestry przechowuję do dzisiaj.

W czasie, kiedy odchodzili, wieś szybko pustoszała. Mój ojciec pozostawił po sobie taką oto notatkę na ten temat, odnoszącą się do początku lat dwutysięcznych:

Wieś Jelcza, gmina Charsznica, powiat Miechów

Ludność:

Ogółem – 450 osób.

Wdowy – 52 osoby, w tym 23 powyżej 80. roku życia.

Wdowcy – 9 osób, w tym 4 powyżej 80. roku życia.

Starzy kawalerowie – 34 osoby powyżej 33. roku życia.

Stare panny – 5 osób.

Osoby samotne mieszkające w pojedynkę – 23, w tym 8 mężczyzn; osoby zamieszkujące we dwójkę – 27.

Domów zamieszkałych 135, zamieszkałych tylko w okresie letnim – 20, domów opustoszałych – 12.

Chyłę czoła przed ojcową znajomością Jelczy i jej mieszkańców (oczywiście każdego znał z imienia i nazwiska) oraz troską o przyszłość wsi. Ze smutkiem mówił, że wymiera. Przypomnę: w latach osiemdziesiątych XIX wieku, za czasów pierwszego Jana, zamieszkiwało ją prawie dokładnie tyle samo ludzi, bo 446, ale domów było 52, co znaczy, że w każdym dorastało po kilkoro dzieci. Dzisiaj nie ma już w Jelczy szkoły, bo nie miałby kto do niej chodzić.

Napisałem, że spowodowany wypadkiem i kalectwem wyjazd babci do Kielc symbolicznie oznaczał koniec pewnej epoki na Perzówce. Rzeczywiście, zamknęła się historia siewów i żniw, koszenia łąk, sadzenia ziemniaków i wykopków, obrządzania krów i świń, kur, kaczek i całego tętniącego codzienną krzątaniną gospodarowania, do którego jako dziecko byłem tak bardzo przywiązany.

Józka zmarła w 1996 roku, po latach cierpliwego i pełnego pokory zmagania się ze swoją niepełnosprawnością. Wydawała się całkowicie pogodzona ze swoim losem. A jednak...

Pewnego dnia zawieźliśmy babcię na wózku inwalidzkim na cmentarz we Tczycy (latem ojciec zabierał ją do Jelczy i tu się nią opiekował). Kiedy dojechalśmy do grobu, w którym spoczął wcześniej dziadek, wybuchnęła gwałtownym płaczem i wykrzyczała:

— Jasiek, zabierz mnie już do siebie!

Rozstanie Józki i Jaśka trwało długich dwanaście lat...

Moi rodzice zajmowali się domem i obejściem równo ćwierć wieku. Po odejściu na emerytury, mieszkali tam od kwietnia do października każdego roku i wyłącznie ich zasługą jest, że przetrwały one do dzisiaj.

Wspólnie z Wiesią postanowiliśmy uczcić stulecie naszego wiejskiego domu. Jak wiemy, wypadło ono w 2018 roku. Rodzinne spotkanie przy pięknej majowej pogodzie zgromadziło kilkadziesiąt osób. Są one uwiecznione na fotografii stanowiącej ostatnią ilustrację mojej opowiadki. Zamknij ją napis, który umieściliśmy ze Staszkiem na stragarzu, a który wykonał mój kielecki przyjaciel, Marek Klikowicz. Poprosiłem go, żeby wrył następujące słowa, nawiązujące do tych pierwszych sprzed stu lat:

Błogosław Boże wszystkim, którzy w tym domu mieszkali, mieszkają i będą mieszkali. Scelinowie.



Zjazd rodzinny z okazji stulecia Naszego Domu. Tu jeszcze przed kolejną przebudową!

Kielce, grudzień 2020 – maj 2022 r.